

# PRZEGLĄD TYGODNIOWY

ŻYCIA SPOŁECZNEGO LITERATURY I SZTUK PIĘKNYCH.

Warszawa d. 4 (16) Czerwca 1878.

N<sup>o</sup> 24

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N<sup>o</sup> 415 (nowy N<sup>o</sup> 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.  
W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Od Redakcyi.—Zły duch między nami.—Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich, Wł. Smoleńskiego.—Piękna, dramat w 4-ach aktach, Wł. Okońskiego. (c. d.).—Andrzej Towiański (Wspomnienie) III.—Językoznawstwo porównawcze wobec nauk historycznych. (dokończ.).—Listy z Włoch. II.—Ze Szwajcaryi. II.—Z prowincyi IX.—Polemika.—Kronika Powszechna.—Przeгляд Polityczny.—Wiadomości handlowe.—Echa XXIV.

## OD REDAKCYI

Przypominamy szanownym abonentom naszego pisma nadchodzący termin jego półrocznej i kwartalnej przedpłaty.

W przyszłym kwartale dołączymy resztę znakomitej powieści *Alfonsa Daudeta* JACK. Ponieważ zaś konieczność wydawania jej niezakończonymi tomami wywołała kilkakrotne co do ich objętości pytania, więc od-tąd w odnośnem ogłoszeniu podawać będziemy ilość zawartych w powieściowym dodatku stronnic.

## Zły duch między nami.

Zanim powstrzymana na chwilę maszyna polityczna dostarczy poważniejszego materiału, odwróćmy uwagę od pustką klekoczących dziennikarskich młynów i zatrzymajmy ją na wypadku innego znaczenia. Jak donosiliśmy w zeszłym numerze, Francya obchodziła stoletnią rocznicę śmierci Voltaire'a. Obchodził ją także cały świat ucywilizowany. Na kartach prasy wszystkich narodów odbiło się echo pamiętki wielkiego męża, któremu każdy coś winien i w uroczystym dniu dług swój spłacił. A jakże my? Czy wraz z innemi ludami połączyliśmy się uczuciem wdzięczności? Bo wszakże Voltaire i naszym był mistrzem, i my korzystaliśmy z jego dzieł, i my wzięliśmy jakąś duchową po nim spuściznę. Pewnie więc nasze pisma pokryły się pamiętkowemi wspomnieniami, pewnie wyraziły swą cześć dla człowieka, który wprawdzie lekkomyślnemi sądami przeciw nam trochę zawinił, ale który nas daleko więcej nauczył. Nie myślimy cię czytelniku trzymać w tem złudzeniu; nie, nasze pisma taką czią pokalać się nie mogły. One są tak czyste, jak czystym być musi papier, na którym drukują się zachwyty nad własną plewą i uznanie dla cudzego karkolu. Czyż podobna wieńczyć Voltaire'a w tychże samych kolumnach, w których zdoła się wawrzynami nieśmiertelności literaccy przemysłnicy, badacze zepsutych mostków, kapłanki ogródkowej Melpomeny i niezmierny szereg naszych, sławnych

dzisiaj, zapomnianych jutro a wskrzeszonych za dobrą butelkę lub zyskowny fawor? Gdzie my mamy miejsce na pomniki dla obcych geniuszów, kiedy tyle go poświęcić trzeba naszym znakomitym ekonomistom, obiecującym rymotwórcom, sympatycznym koncertantom i nestorom, których zasługi tak głośno rozbrzmiewają przy jubileuszowych obiadkach? Zresztą, Voltaire nas obraził. Wprawdzie ci nasi nestorowie kradną czasem powierzone im dzieła i wydają za swoje; wprawdzie piszą odstępcze ody; wprawdzie uszami i rękami pracują na zgubę swego społeczeństwa—ale to swoi. Grzech ima się ich ciała, nie ducha. Nie ma na sumieniu naszego brata takiej plamy, którejby swojskość wywabić nie mogła. Zaczernij je wszelkiemi możliwemi skazami, ono natychmiast tak się w doraźnie odczuty patriotyzmie wypierze, jak gdyby wiecznie jego natchnieniami nasiąkniętem było. Naszemu upadkowi nie wyrównywa cudza onota, naszej małości—cudza wielkość. To, co napisano u nas w rocznicę śmierci Voltaire'a, nawet mierzyć się nie może z tem, co poświęcono aktorowi, grywającemu od dawna w warszawskim teatrze rolę lokajów. A cóż dopiero mówić obohaterach rozleglejszej sławy, chociażby nawet ujemnej wartości! Gdyby opisy rozbojów i schwytywanie piotrkowskiego bandyty zebrano w jedną całość, urosłaby tak wielka prawie księga, jak wydana na stoletnią pamiętkę nieśmiertelnego myśliciela.

Przyznać trzeba, że mamy zapał, mamy słowa uwielbienia i dla zagranicznych mistrzów. Alboż nie zamazywaliśmy płacht papieru widokami pogrzebu i uniesieniami nad cnotliwością Piusa IX? Kilka miesięcy nie mogliśmy o nim zapomnieć, a nawet dotąd jeszcze wspominamy. Ciągłe stoi nam przed oczyma stukanie młotkiem w głowę zmarłego papieża, wystawa jego nog do publicznego całowania, lub też miłosierne jałmużny, grzeczne audyencye, a nadewszystko hojnie rozdzielane błogosławieństwa i tym podobne wielkie czyny, które zaćmiewają światło najdonioślejszych zasług. Voltaire i Pius—a któżby śmiał ich porównywać—to niewidzialny pył i olbrzymia piramida. Bo kiedy pierwszy pohnął ludzkość na nowe, rozległe tory, drugi usiłował ją cofnąć do owych błogosławionych czasów, kiedy to zmądry mogli się spokojnie zamknąć i rozum do wiecznego snu ukolysać. Pierwszy zostawił po

sobie mądre dzieła, drugi—ślepe sylabusy. I dla tego tamten dla nas szkodliwy, ten zbawienny, o tamtym winniśmy zapomnieć, o tym ciągle pamiętać. Co nam po nauce, co po tych ideach swobody, tolerancyi, niepodległej wiedzy, które głosił mistrz francuzki? Wszystko to z piekła pochodzi, a przez piekło nie ma drogi do zbawienia. Nasze niebo po za czyscem, którego ogień musi w nas wprzód wypalić grzechy bezbożnej mądrości, zanim zyskamy prawo zaliczenia się do grupy baranów, dumnie urągających tym kozłom, które od grzesznej nauki Voltaire'ów oderwać się nie dały. Błogosławiony więc bądź Piusie za to, żeś nas przyczepiał do wszystkich na śmierć skazanych stronnictw politycznych Europy, żeś nad odciągał od prądów żywotnych, żeś naszą przyszłość oparł na swoich encyklikach i zapewnił wiarą w twoją nieomyślność; a zarazem bądź przeklęty Voltaire'ze, żeś nas zaraził pojęciami duchowego wyzwolenia, żeś w nas oziębził dewockie zapęły, żeś nam zalecał zgubne drogi nieskrępowanej fanatyzmem myśli. Na twoich dziełach położono dzisiaj jako godło zuchwałą dla czytelnika wróżbę, dla którego kimkolwiek jest, ty masz być, byleś lub będziesz mistrzem. Może prochy twoje doczekają tego wszędzie, ale nigdy u nas. Gdy cała Europa podzielała uczucia Francyi w dniu twego jubileuszu, my łączyliśmy się ze słowami papieża, które kardynał-arcybiskup paryzki odczytał wiernym po nabożeństwie „za odpuszczenie śmiertelnego grzechu”. „Ojciec Święty—powiedziano—błogosławi wszystkich tych, którzy przyjęli udział w modlitwie z powodu niegodziwej demonstracyi, odbywającej się 30 maja w Paryżu”. Jesteśmy więc pobłogosławieni, bo duchem należeliśmy do tej modlitwy. Miły Boże! jak to lekko na duszy po takim błogosławieństwie! jak daleko pod jego osłoną może zająć niepewny swej przyszłości naród! Tego tylko nam potrzeba, o to tylko się starajmy „a reszta będzie nam przydana”.

Złorzeczając jednak z francuzkim klerem Voltair'owi, pozwólmy mu za to z grobu odpowiedzieć śpiewem za życia:

O ty głupoto! o wielka bogini,  
Której Iono więcej zrodziło  
Śmiertelnych, niż płodna Cybele  
Na świat wydała bogów,  
Z jakąż rozkoszą patrzysz zagasłym ślepem,  
Na swoje dzieci, któremi moja roi się ojczyzna!



### Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów plockich.

WŁ. SMOLEŃSKIEGO.

Nowy, ciekawy i charakterystyczny widok w naszej przeszłości odsłoniła nam praca, której tytuł wyżej podaliśmy. Bez chęci ubliżenia poważnym w tej gałęzi badaniom, wyznać musimy, że historyografia nasza słabo dotąd uwzględniała odrębności dziejowego rozwoju pojedynczych części dawnej Rzeczypospolitej polskiej, oraz rzeczywisty układ wewnętrznych stosunków społecznych. Zwykle słyszymy, że jakaś prowinoza przed chwilą wcielenia jej do Polski szła w swem życiu własną koleją i wyróżniała się organizacją, ale po tej chwili zlewała się z całością zupełnie i traciła swój odrębny charakter. W skutek takiego przedstawienia dziejów, Rzeczpospolita polska wygląda jako ciało jednolite i jednorodne, ożywiona jednakiemi dążeniami i jednaką we wszystkich częściach naturą. Dopiero głębsze wejrzenie w jej ustrój przekonywa, że był to aż do ostatnich czasów istnienia dość luźnie spojony zlepek różnych całości, które wprawdzie przyjmowały udział w pewnych ogólnych ruchach państwa, ale jednocześnie wyosobniały się zeń siłą niepokonanej odrębności. Z tego stanowiska obraz historycznych źródeł Polski daje nam całkiem inny widok i pozwala zrozumieć wiele zagadek, przez inny pogląd wcale nierozwiązanych.

Jak zwodną jest owa podrabiana przez historyków jednolitość państwowa Rzeczypospolitej polskiej, tak zwodnym jest również wykład jej społecznych stosunków na podstawie ogólnie powtarzanych, ale nigdy niestosowanych zasad. Dość tu dla przykładu wspomnieć hasło naszych przodków, głoszących dumnie, że „szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie”. Zawierzywszy tej prawnie-obyczajowej regule, można istotnie dojść do wniosku, że Rzeczpospolita polska była jedynym okazem powszechnej między obywatelami równości, że gdy w całej Europie rozmaite stany ustąpiły się szczeblami rozmaitego znaczenia, u nas tylko ułożyły się do wspólnego wszystkim poziomu. Tymczasem, jeżeli niezależnie od wszelkich nominalnych wyrazów postaci

naszego społeczeństwa w przeszłości, przyjrzymy się uważnie jego rzeczywistemu kształtowi, dostrzeżemy, że ono ulegało tymże samym, co inne, prawom ustosunkowywania się socjalnych żywiołów. Dostrzeżemy, że była w niem najbardziej uprzywilejowana arystokracja, mniej uprzywilejowana średnia szlachta i od obu poprzednich zależna drobna, że więc szlachcie na zagrodzie nie był i być nigdy nie mógł równym wojewodzie. Sama bowiem ekonomiczna przewaga utrzymywała go w takim poddaństwie, że o równouprawnieniu z panem, z którym go szlacheckie godło teoretycznie bratało, praktycznie nawet nie myślał.

Tym ogólnym naszym uwagom dostarcza znakomitej historycznej podstawy praca p. Smoleńskiego. Ukazuje w niej autor ułamek do końca zachowanej odrębności Mazowsza, oraz kreśli szerzej po raz pierwszy nader ciekawy obraz mazowieckiej szlachty w poddaństwie proboszczów plockich. Pójdźmy za nim.

Biskupstwo plockie, dzięki szczodrym nadaniom mazowieckich książąt, wzrosło szybko do znacznej potęgi a z czasem nawet rozpostarło w swej prowincji przeważną władzę. Wprawdzie kilkakrotnie musiało z tych nadań robić częściowe ustępstwa, od XV w. wyrzec się nadziei dalszego korzystania z hojności książąt; zabezpieczwszy jednak prawie osiągnięte zdobycze, zaczyna je tak umiejętnie wyzyskiwać, że posiada dość siły do zapanowania nad mazowiecką dzielnicą. Wpływ duchowieństwa oddziałal bardzo silnie na jej charakter. Śród powszechnego wrzenia umysłów Mazowsze było ciągle ortodoksyjnie katolickiem. Jeden za rządów Noskowskiego w diecezyi plockiej wytopiony heretyk musiał z niej natychmiast uciekać. Jeszcze w XVIII wieku pułtusi synod zaleca proboszczom, ażeby o każdym kacerzu natychmiast donosili i ażeby na wrogów kościoła nieustannie mieli zwrócone oko. „Z łaski gorliwych pasterzy tak katolickiem — mówi Ruggieri — było Mazowsze, jak same Włochy. Według Torres'a za Zygmunta III jedna tylko heretycka w Mazowszu mieszkała rodzina, a pobożność i ścisłość w zachowywaniu postów były tak wielkie, że gdyby nieświadomy zwyczajów podróżny jechał w obecności Mazura w piątek jaja lub nabiał — naraziłby się na niebezpieczeństwo utraty życia. Z pobożnego usposobienia owieczek łatwo było pasterzom

korzystać, a to tem bardziej, że obok wpływu natury moralnej, rozporządzali niemniej ważnym czynnikiem — materyalną, na wielkich bogactwach opartą potęgą. Jakoż jednej i drugiej musieli używać natrętnie, skoro ewangelicznie ulegli mieszkańcy stracili w końcu cierpliwość i przewodników zbawienia zaleli kaskadą wyrzekan”. W XVI w. biskup plocki jest przedmiotem ciągłych skarg, że biedą szlachtę ciemięży, wyklina i do swoich pociąga sądów. Temiż winami oskarżone niższe duchowieństwo. Na sejmie piotrkowskim (1558) posłowie żalą się, że biskup plocki wykonywa swoje wyroki bez względu na króla, prymasa a nawet papieża, że księża o lada drobnostkę rzucają klątwę i przeszkadzają szukać sprawiedliwości w sądach ziemskich; że „ukazując swego pana papieża” nie pozwalają odwoływać się do króla, że narzucając papieżkie ustawy, zamieniają niemi szlachtę w swych poddanych. To też niezaskonięta przed samowolą duchowieństwa nieraz porzucała wszystko i wiodła życie tułaczce. Nie mogąc zwiększać swych posiadłości, wyciskało ono w zdobytych ciągłym podnoszeniem dziesięcin wszystko, co tylko z pognębionej ludności wycisnąć się dało. Nadużycia te doszły w XVIII w. do tak strasznej miary, że wywołały szereg nietylko procesów, ale i otwartych buntów, które aż siłą starano się uśmierzyć.

Z dziejów tego księzego ciemięstwa wybiera autor do szczegółowego przedstawienia jedną tylko kartę, mianowicie losy szlachty sielunskiej.

W trzynastym już wieku rozdzieliło biskupstwo plockie swe posiadłości między członków kościoła. Między innymi proboszcz otrzymał dobra sielunskie. Leżały one po obu brzegach Narwi, gdzie rzeka ta oddzielała powiat ostrołęcki od ziemi rożańskiej, a zawierały w pięciu kluczach pięć wójtostw i siednaście wsi. Proboszcz plocki był znacznym dostojnikiem w kościele a wszechwładnym panem w swych dobrach. Mógł za zgodą kolegów czynić nadania, przenosił włości swoje z prawa polskiego na niemieckie, tworzył administracyjne lub sądownicze posady i wyznaczał na nie urzędników. Nic też dziwnego, że na tak zyskowne i licznemi swobodami opatrzone stanowisko ubiegali się członkowie najznakomitszych rodzin i że je przenosili nad niejedną pozycję biskupią. Kiedy Jan III dawał

## ECHA WARSZAWSKIE.

### XXIV.

Uniwersytet tutejszy obchodził w tych dniach jubileusz pięćdziesięcioletniej działalności naukowej profesora swego i dziekana Kowalewskiego, zasłużonego na polu badań języków orientalnych.

Urodzony w 1800 roku, Kowalewski studye naukowe odbył w Uniwersytecie Wileńskim i w dziedzinie filologii klasycznej zaczął pracować z razu dla naszej literatury, tłómacząc Longina (Dziennik Wileński z r. 1822) i wydając z objaśnieniami część metamorfoz Owidyusza. Od r. 1824 poświęcił się jednak studyowaniu języków wschodnich i przeniósł odtąd całą swą działalność na niwę nauki i literatury rosyjskiej. Epoka samodzielnych badań jubilata przypada głównie na początek drugiej ćwierci naszego wieku, gdy dla zbadania języka tatarskiego i mongolskiego odbywał z trudem kilkoletnie podróże po krainach Zabajkalskich, Mongolii, Chinach i Tybecie. Owocem tych podróży było zbadanie nieznanego dotąd uczonym rosyjskim języka mongolskiego, którego pierwszą gramatykę (1835 r.)

i pierwszy słownik rosyjsko francuzki (rok 1838) wydał pan jubilat. Od roku 1838 rozpoczął jako adjunkt działalność swoją w Uniwersytecie Kazańskim, gdzie następnie jako profesor, a na końcu jako p. o. rektora rozwijał swą działalność do 1862 r. głównie w zakresie języka mongolskiego. Działalność naukowa dziekana Kowalewskiego w swoim czasie zyskała niepospolite uznanie.

Obok już wymienionych publikacji wiele artykułów z dziedziny etnologii i językoznawstwa mongolskiego drukował on przeważnie w rosyjskich czasopismach. Od roku 1862 wezwany na profesora Szkoły Głównej został wybrany dziekanem, którąto godność spełnia dotąd nieprzerwanie w Uniwersytecie tutejszym, wybierany ponownie co każde trzechlecie.

W ostatniej jednak fazie działalności szkolnej profesor Kowalewski nie zajmuje się dawnym przedmiotem badań samodzielnych, ale w treściwych zarysach wyklada dzieje powszechne.

Jubileusz jego był więc głównie jubileuszem szkolnym i uroczystością dla naukowej literatury rosyjskiej, w której położył podwalinę jednej gałęzi badań językowych. Uroczystość ta odbyła się w sali posiedzeń Uniwersytetu. Zagaił ją rektor stosowną przemową, poczem nastąpiły przemowy pro-

fesorów Pawińskiego i Struvego, a następnie odczytano telegram otrzymany od ministra oświaty i wręczono jubilatowi dyplom honorowy Uniwersytetu Kazańskiego.

Gdy się skończyła uroczystość urzędowa, sankcjonowana przez wyższą władzę, całe grono udało się z murów Uniwersytetu do jednej z resurs tutejszych i uczciło jubilata składkową ucztą.

Koleje Terespolska i Nadwiślańska zamierzają, za przykładem Wiedeńskiej, zaprowadzić u siebie szkoły techniczne, któreby tym instytucyom dostarczyły odpowiednio uzdolnionych pracowników. Zrobiono uwagę, że daleko byłoby właściwiej i korzystniej już istniejącą szkołę rozszerzyć, niż nowe zakładać. Uwaga ta bardzo słuszna, gdyż zjednoczone siły mogą wydać bardzo dobry rezultat, podczas gdy samoistne podejmowanie dość znacznego ciężaru musi pasować się z bardzo wieloma trudnościami.

W drukarni uniwersyteckiej w Kazaniu, wyszła świeżo na widok publiczny jednoarkuszowa broszurka, zamykająca w sobie dwa krytyczne sprawozdania głośnego badacza języków słowiańskich p. J. Baudouina de Courtenay.

W jednym z nich rozbiera autor *Rzecz o dyalektach mowy polskiej* W. Pola. Praca ta



J. Chr. Załuskiemu do wyboru łuckie biskupstwo lub płockie probostwo, radził przyjąć ostatnie, jako szerszą otwierającą drogę do zaszczytów. Śród posiadłości sielunskich rozproszone były siedziby szlacheckie, rozdrobnione, skutkiem pomnożenia się rodzi, na malutkie kęsy ziemi — i naturalnie bardzo ubogie. W ciągu wieków nadane tym szlacheckim mrowiskom przywileje zapewniały im różnorodne ulgi; mimo to jednak prawa szlachty mazowieckiej, a w szczególności sielunskiej, nie sięgały wcale do wysokości praw rycerstwa koronnego. „Kiedy bowiem drugie, przywilejem koszyckim rycałtowo od wszelkich zwolnione ciężarów, z gorączkowym pospiechem do politycznego zmierzano znaczenia i w połowie XV w. ostatni już na tem polu czyniło wysiłek, — ogół szlachty mazurskiej wciąż się ugiął pod brzemieniem książeńcych danin i w sferze państwowego zarządu najmniejszej nie posiadał powagi. Despotyczni a rozwiązli księżęta tylko dygnitarzy dopuszczali do obrad — do reprezentacji narodowej, jakiej zarodki w Koronie już w XV widzimy wieku”. Wprawdzie i śród Mazurów od XIII w. ujawnia się pewien ruch, ale był to ruch spokojnych ustępstw, jakie sami księżęta dla własnej czynili korzyści, nie zaś gwałtownych przewrotów. A nadto przemiany odbywały się bardzo powoli, nie ogarniały mas i wynikały z pobudek czysto ekonomicznych. W tej właśnie naturze społecznego rozwoju sielunskiej szlachty kryje się pierwsza przyczyna jej zależności od proboszczów płockich. Bo mimo ciągle przyrastających ulg, rozdawanych książeńcą ręką, uźwigała ta szlachta mnóstwo dotkliwych ciężarów, a żyjąc śród ludności poddanej płockim proboszczom i widząc jej szerszą swobodę, zapragnęła podobnego losu. „A więc korzyści materialne i, niezawodnie, nieklamany afekt ku sługom kościoła nęciły prawowierną szlachtę w stronę proboszczów; ci zaś ostatni, radzi bardzo zwiększyć powagę przez ujęcie pod skrzydło swej władzy w obrębie pięciu kluczów mieszkające rycerstwo — wzajemnem rozgorzali uczuciem. Dwa prądy, z jednakową siłą i w jednym zmierzające kierunku, musiały w końcu się zetknąć”. Wprawdzie na drodze do zawiązania tego stosunku stał opór ksiąząt, ale przyjazne okoliczności przeszkodę tę pomyślnie minęły. Probostwo płockie objął w XIV wieku Henryk syn księcia Ziemowita. Czego nie

mogły dokonać starania, tego dokonała ojcowska pobłażliwość. Ziemowit przez szpary patrzył, gdy szlachta z pod jego władzy przechodziła pod protektoryat młodego proboszcza, a przechodziła tem skwapliwiej, że oprócz względów materialnego zysku i klerikalnej skłonności, czuła jeszcze pociąg do zacnej krwi kościelnego dostojnika. Jakoż zaczęła naprzód ze sprawami udawać się do jego sądów nadwornych, i to był pierwszy krok uznania proboszczowskiego zwierzchnictwa. Gdy wreszcie potem nastąpiło założenie w Sieluniu grodu, gdy proboszczowie zaczęli drogą zamiany gruntów przesiedlać i między chłopami rozpraszać szlachtę, gdy odpowiednimi środkami uorganizowali i uprawomocnili swoje panowanie, pozyskali zwolna udzielną władzę. „Sprawy rozstrzygał mianowany przez nich starosta, a gdy wyrok jego wyższej wymagał decyzji — sam proboszcz lub wydelegowani kanonicy stanowili instancję ostatnią”. Tym sposobem spełnił się akt wejścia szlachty sielunskiej w poddaństwo proboszczów płockich. Ale wkrótce zdarzył się wypadek, który miał okrutnie rozwiać złudzenia z tego stanu wysnute i być zawiązkiem rozpaczliwego dramatu. W r. 1526 Mazowsze przyłączone zostało do Polski. Zygmunt, powierzwszy zarząd tej prowincji osobnemu namiestnikowi, potwierdził dawne przywileje jej rycerstwa, przydał nowe, a wreszcie powołał je do rady i sejmu. Przekonała się wtedy mazowiecka szlachta, że na związku z Koroną zyska bardzo wiele. Ośmielona tą korzyścią, zaczęła domagać się zniesienia namiestnictwa, co też w r. 1576 otrzymała, a zarazem inaczej zapatrywać się na swój stosunek do proboszczów. Teraz pod każdym względem było korzystniej uważać się za obywatelów Rzeczypospolitej, niż zostawać w poddaństwie u księży. Należało więc koniecznie ciężkiego i nieopatrnie przyjętego jarzma się pozbyć. Lekki pierwiastkowo ruch w tym kierunku ośmielił się poparciem wojewody i namiestnika, Stanisława Ławskiego, który wydał polecenie urzędnikom łomżyńskim, aby zabezpieczające niezależność szlachty sielunskiej dowody przyjmowali do grodów i na żądanie interesowanych wydawali dokumenty w odpisach. „Rozporządzenie vicesgerenta wielkiemu proboszczowi zabrzmiało groźnie. Każdy ze szlachty, okazawszy w grodzie swojego powiatu nadania i przywileje ksiąząt, stawał się wolnym, a że ry-

cerstwo sielunskie dokumenty, odziedziczone po ojcach, starannie chowało w skrzyniach i w każdej chwili mogło je w urzędzie okazać — narażali się przeto proboszczowie na utratę kilkuset rodzin, dotychczas poddańczych, a co ważniejsza — z obowiązku zależności spory dających dochód”. Temu niebezpieczeństwu trzeba było koniecznie, bez uwzględniania godziwości środków, zapobiedz.

Trudne to zadanie podjął i skutecznie wykonał jeden z proboszczów, Mikołaj Wolski. Był to sławny w swoim czasie, zaszczycony względami Zygmunta Augusta awanturnik i hulaka. „Widząc, że szlachta jest bardzo bliską usunięcia się z pod jego władzy, stanowczego zażył sposobu i na długo sobie i swoim następcom uległość sielunian zapewnił. W r. 1558, zbrojnymi otoczony ludźmi, napada na chaty rycerskie, odbija w mieszkaniach skrzynki, znalezione w nich papiery zabiera i unosi, a niektórych ze szlachty, że opierać się śmieli, — zapędza w taras — zamyka w więzieniu. Jeden tylko oryginalny ocalał przywilej — na Rupino, reszta zaś, przez Wolskiego zabrana, przepadła bez śladu”. Wydarłszy tym sposobem szlachcie piśmienne dowody, zaczynają proboszczowie pastwić się nad bezwładną i coraz silniej zacieśniając pęta niewoli. Jednym z najbardziej zabójczych środków było wyrabianie tak zwanych laudów, w których sąsiednia szlachta odsądzała proboszczowską od obywatelstwa jej ziemi i od przywiązanych do niego praw. Pozbawieni przywilejów, odrąceni od braci, gnębieni przez swych panów, zaniedbani przez rząd, rozpoczynają biedni sielunianie długą i ciężką walkę z proboszczami płockimi, która, przeszedłszy nieszczęśliwie szeregiem procesów i skarg przez trybunały i sejmy, zakończyła się dopiero dla nich tryumfem na sejmie 1791 r. Ówczesny proboszcz, Marcin Szeptycki, przewidując porażkę, wolał się okazać wspaniałomyślnym niż zwycięzonym i dobrowolnie zrzekł się wszelkiej nad szlachtą sielunską władzy. Tak się rozwiązał ów wiekowy dramat, którego przebieg krył się dotąd pod skorupą naszej historii. „Rządy proboszczów — dodaje w zamknięciu swej pracy autor — były dla zamieszkałej w księztwie sielunskim ludności macosze. Przewodnicy po ciemnościach grzesznego żywota dla sprawy krwawienia światła książeńcą szkatułę zamykali staran-

nie ma, zdaniem Baudouina, żadnej naukowej wagi. Poeta wziął się do dzieła bez należytego przygotowania, a ztąd i wywody jego, oparte na mniemanej tożsamości granic staropaństwowych z etnograficznymi, na ostrą zasługują satyrę. Patryotyzm nie dozwolił Polowi ujrzeć właściwych, odrębnych znamion, jak z jednej strony w kaszubskim, tak z drugiej w białoruskim i małopolskim narzeczu; gospodarująca zaś nie u siebie fantazyja wytwarzała dziwactwa, które na usta lingwisty uśmiech tylko wywołać mogą.

W roku minionym wyszła po niemiecku w Wiedniu książka p. t. *Duchowa wiara* (Der geistige Glaube ohne Testament und Vermittler) — napisana przez warszawskiego lekarza D-ra J. Rappaporta. Słyszając o niej dawno, teraz dopiero mieliśmy sposobność poznać. Jest to niezmiernie szczegółowy rozbiór Biblii, dopełniony z pomocą najśłynniejszych jej krytyków, ale zarazem na podstawie samodzielnych studyów autora. Dr. Rappaport z nadzwyczajną ścisłością analizuje każdy niemal wiersz religijnej księgi, wykazuje prawdopodobieństwa późniejszych wstawek, dowody sprzeczności słów i pojęć i t. d., a wreszcie dochodzi do wniosków, wyrażonych ogólnie w tytule pracy i w jej godle: „wiara w Biblię nie jest wiarą w Boga”.

Godło to przekonywa, że *Echo*, polecając przed kilku miesiącami publicznej uwadze tę książkę, nie widziało nawet jej... okładki.

Jedno z zapowiedzianych pism już się narodziło, a drugie się rodzi. Pierwszy zeszyt *Revue Slave* — jedynej publikacji (jak głosi tytuł) w języku francuzkim, poświęconej wyłącznie literaturze, naukom i sztukom krajów słowiańskich — ujrzał światło dzienne. Pomieszczono w nim krótką biografię, przekład pierwszego aktu *Mazepy*, oraz dwu drobnych wierszy Słowackiego przez J. Mien, początek powieści Turgeniewa *Nakanunie*, rozprawę Sokołowskiego o wizerunkach Trójcy, artykuły o poezji bułgarskiej i początkach Słowian, wreszcie wiersz L. Siemionńskiego. Ocenę tego, bądź co bądź, bardzo ważnego wydawnictwa zamieszcimy wtedy dopiero, gdy kilka zeszytów da nam dokładniejsze wyobrażenie o całości. Tymczasem tylko zanotować winniśmy, że nie dostrzegliśmy z przyjemnością żadnej tendencji politycznej, a z przykrością — żadnego prawie śladu, odbijającego bieżący ruch umysłowy narodów, programem pisma objętych. Redakcyja słusznie robi, przedstawiając zagranicy nowożytnie dzieła wartości ustalonej; ale nie powinna zapominać o nowonarodzonych. Czyż nie słuszniej np. było zamiast czterokrotnie w jednym zeszyście

wyprowadzać Słowackiego, zużytkować to miejsce dla innych polskich pisarzy lub dla uwag o bieżącej naszej literaturze? Ze p. J. Mien specjalnie zajmuje się tłumaczeniami Słowackiego, to na ustosunkowanie treści pisma wpływać nie powinno, tem bardziej, że ten z naszych poetów podobno najnieszczęśliwiej w przekładach wychodzi. Niezależnie wszakże od braków, życzymy nowemu organowi powodzenia i radzibyśmy, ażeby on stał się rzeczywistym łącznikiem świata słowiańskiego z nieznaną go Europą.

Drugie pismo *Nowiny*, obiecuje nam od 1-go Lipca dawać treść postępową. Ponieważ jednak zbyt ogólnikowość perspektywy nie pozwala dokładnie zrozumieć jego obietnicy a w dotychczasowym istnieniu tej gazety wystąpiło mnóstwo dowodów przeczących wolnomyślnemu kierunkowi, więc z uznaniem dla jej charakteru wstrzymujemy się aż do faktu, który bodajby się spełnił w duchu pożądanym.

Figiel to skrycie wsunął, czy rozważa podyktowała? A może intruz, oprawiając ostatni zeszyt *Niwy*, wkleił doń przez pomyłkę kartkę jakiejś innej książki? Bo jak sobie wytłumaczyć w piśmie, które wstecznym ruchem zawsze czytelników za sobą prowadzi, taki ustęp we frontowym



nie, w Sieluniu bowiem żadnej podobno nie było szkoły... nie było nigdy porządnej świątyni, ani odpowiedniej kościelnej obsługi." Po spaleniu się kościoła w r. 1691 wzniesiono kaplicę, a gdy i tę w r. 1780 pochłonął pożar, na jej miejscu „dla wygody” parafian istniała drewniana szopa, słomą kryta. Sam Sielun był nędzną wioszczyną, a z jego ubóstwem harmonizowało opustoszenie proboszczowskich majątków. Od r. 1813 dobra sielunskie zostają w posiadaniu państwa. „Dzisiaj—dodaje p. S.—jedyną po księstwie i księżętach (tytuł ten przywłaszczyli sobie proboszczowie) pamiątką są akta sielunskie, w komplecie od r. 1490 do 1760 przechowane w archiwum plockiem. Potomkowie przez półtrzecia wieku pracującego nad odzyskaniem swobód rycerstwa nie prawie nie wiedzą o dziejach ojców. Głucha wieść tylko o starym ucisku, o kosztownych procesach i jakiejś skardze, zaniezionej do króla—oto wszystko, co pamięta dzisiejsza szlachta, zamieszkała w obrębie dawnych posiadłości książąt proboszczów. Pragnę, ażeby pismo moje do jej rąk doszło. Niech synom rozmilowanych w swobodzie rycerzy przypomni trzywiekowe zapasy z panami; w ich piersiach niech roznieci ten szczery zapal, jakim nieustannie nieszczęśliwi gorzeli ojcowie.”

Z pracy p. Smoleńskiego wyjęliśmy w powyższym sprawozdaniu tylko ogólny jej szkic; wystarczy on wszakże dla scharakteryzowania i zrozumienia ważności tego cenego przyczynka do dziejów naszej cywilizacji. Nie spotkaliśmy już dawno w polskim języku historycznej książki równie ciekawej i równie nowe odkrywającej widoki. Natura jej nierozbranego dotąd nalezycie przedmiotu zastaje nas niedość przygotowanych do osądzenia, czy autor użytkował wszystkie istniejące materiały. Zreklamujemy się więc prawa do robienia nawet hypotetycznych zarzutów i wolimy natomiast wyrazić na wartości dokonanej pracy oparte życzenie, ażeby jej autor zechciał kiedyś dać nam szerszy tego rodzaju obraz, ażeby w większych ramach zbadał i przedstawił te stosunki, które tak umiejętnie skreślił w szczupłych granicach sielunskiego zakątka. Życzenie nasze ma tem słuszniejszą rację, że p. Smoleński w monografii swojej potrącił wzmiankami o kilka pokrewnych zjawisk i że w dotychczasowych pracach ujawnił chęć badania wewnątrz-

nych, społecznych stanów naszej przeszłości, tego dna, po którym przepływał potok naszej cywilizacji i które w mętnych, zewnętrznych porostami i szumowiną okrytych falach politycznego życia niedość wyraźnie się odbijało, chociaż nigdy nie przestało być jego podstawą. A. S.

## PIĘKNA.

Dramat w 4-ch aktach.

Wz. POKOŃSKIEGO.

### SCENA VI.

RYSZARD i EMILIA, później GRACYAN i TERESA.

RYSZARD (czule).

Powierzy mi się pani?

EMILIA (lekko uśmiechając się).

Z warunkiem...

RYSZARD.

Bez warunku.

EMILIA (smutnie).

Nie powtórz mi pan tego po raz drugi, bo odejdę... z przekonaniem, że mnie pan lekceważysz.

RYSZARD (z zapalem).

Ja panią lekceważę, dla tego, że gdy te drzewa, wiatrem zginane, czoło ku ziemi chylą, mnie zdaje się, iż one hołd pani składają? dla tego lekceważę, że ile świata do mnie należy, tyle pod stopy twoje rzucam, że chciałbym mieć w sercu milion serc, ażeby cię milionem...

EMILIA (błagalnie).

O, nie, nie...

RYSZARD (z wzrastającym zapalem).

Kochać.

EMILIA (z trwożą).

Nigdy!

RYSZARD.

Wie pani, co robią ludzie, którzy pod takim zakazem żyć siły nie mają?

EMILIA (gorączkowo).

Pan nie popełnisz żadnego szaleństwa, jeśli pan mnie...

RYSZARD (f. w.).

Jeśli pani mnie... O, nie wahaj się wypowiedzieć tego, co mi hasłem szczęścia zabrzmia. (w głębi ukazują się Gracyan i Teresa, witając Janusza i Zygmunta)

EMILIA (cofając się).

Nie mogę...

RYSZARD.

Kochać, czy wyznać?

EMILIA.

Serce już mej woli nie słucha, ustom jeszcze tylko rozkazuję. (szybko odchodzi i spotyka Gracyana, który z Teresą się zbliża)

GRACYAN (kłaniając się zdala Ryszardowi, do Emilii).

Ucieka pani przed niebezpieczeństwem?

TERESA (podaje rękę Emilii).

Na które ja za panią się narażę. (Emilia oddala się z Gracyanem w głąb sceny)

### SCENA VII.

RYSZARD i TERESA, później GRACYAN i ZENON.

TERESA (z uśmiechem).

Nie tak natarczywie, hrabio... Nie trzeba zbyt się spieszyć ze zwycięstwem, które przy ostrożności może być pewne, a w zapędzie—wątpliwe.

RYSZARD.

Mam chęć się obejrzeć i przekonać, czy kto za mną nie stoi, komuby się przestroga pani należała; bo ja jej nie rozumiem.

TERESA.

Właściwie nie rozumiesz pan tego tylko, co mnie upoważnia do zaglądania pod pańską maskę.

RYSZARD.

Upoważniłem sam, ale wtedy jedynie, kiedy rzeczywiście maskę wkładam.

TERESA.

Dla mnie zawsze.

RYSZARD.

Więc ją teraz zdejmę. Czy pani nie widzi, że posądzanie mnie o jakąś nadmierną sympatyę dla pięknej profesorowej jest niesprawiedliwością, która mi przykrość sprawia?

TERESA (szydłczo).

Pan nie zwykłeś nawet cierpieć bez celu; dotąd zamiary pańskie przenikałam, ale w tej chwili nie odgaduję zupełnie, co panu zależy na udawaniu boleści przede mną.

artykule: „Brak dobrze zrozumianej tolerancji dla wywodów nauki współczesnej stanowi ważną przyczynę zaniedbania (u nas) literatury naukowej. Umysły badawcze niepodległe nie mogą znaleźć pola do użytkowania swej pracy dla dobra społecznego, skoro są z góry, bez gruntownego zbadania rzeczy, podejrzywane o kierunki przeciwnie zasadniczym podstawom społeczeństwa naszego.” Cóż na to autor „Spraw bieżących” Nivoy, obrońca „dobrowolnych indeksów,” oskarżyciel umysłowej swobody, a nade wszystko—to główna zasługa—nieobrany ale wymownie z miejsca przemawiający zachowawczy poseł do niemieckiego sejmu z Warszawy?

Ty śpisz Soplico, a twoi sąsiedzi...

Na zarzuty nasze, uczynione „Bibliotece najcenniejszych utworów” za opuszczenie niektórych poezji w wydaniu Krasickiego, Kłosey odpowiadają, że „opuszczenia te własnowolnymi nie były.” Chcemy temu wierzyć, ale jednocześnie nie możemy pojąć, dla czego np. bajka, którą my prawie w całości przytoczyliśmy w skład wydawnictwa nie weszła?

Dramaturgia widocznie coraz bardziej zaczyna być u nas w modzie. Zostać pisarzem dramatycznym, zbierać laury, płodzić

utwory, których tytuły łokciowemi literami ogłaszane są na rogach ulic... jest to doprawdy ponętna perspektywa. Nic więc dziwnego, że laury zwycięzców konkursowych nie dają spać p. Bobrowskiemu, który pomimo widocznego oporu swej muzy postanowił *coûte que coûte* szturmować do przybytku sławy pięcio-aktowemi komedjami. Po *Naszyc* i *Zmijach*, w których autor nieprzebierając w środkach, chciał bądź co bądź narobić wielkiego hałasu, napisał kilka luźnych scen bez wielkiego składu i ładu i nazwał to pięcio-aktową komedią *Nad przepaścią*, którą trupa p. Teksla przedstawiła w Belle-vue. Wprawdzie z tych pięciu aktów mogłoby bardzo dobrze być dwa lub trzy w najlepszym razie, ale gdzieby się podziały w takim razie cyfra klasyczna aktów, którą utrzymywali w swych utworach najlepsi autorowie? Tym razem p. Bobrowski wziął na moralność i wydał dużo peror zarówno mężom, którzy zdradzają żony, jak żonom, które chcą odplacić się podobną zemstą. Przy tej okazji autor podnosi słuszny protest przeciwko niejednakowej skali moralności dla błędów kobiety i mężczyzny, ale czyni to bez talentu, w sposób niezręczny, tak że jego utwór nie wart bliższej uwagi. Autor drugiego dramatu oryginalnego, przedstawianego w Belle-vue, *Rodzina Wandajska*, pan Waliszewski pozazdrościł

znowu laurów francuzkim fabrykantom dramatów „rozczochranych” i nagromadził w swym sąnisiście długim utworze przerażający stek okropieństw i najprzeróżniejszych awantur, które mogą posłużyć aktorem do wywołania targających nerwy efektów. Nie chcąc was dręczyć czytelnicy wspomnieniem o tych morderstwach, intrygach i śmierciach, wolę zaznaczyć dobry humor teatru poznańskiego, który zabawił się z publicznością w niewianą mistyfikację przypisując autorstwo komedii *Polowanie na zięciów* Wiktorynowi Sardou, chociaż jest ona składkowym plodem pp. Laboche i Delacour. Pomimo sprostowań czynionych przez prasę afisz tego teatru wytrwale jednak obsta je przy swoim, co w każdym razie dowodzi, że prawda, iż jedną z najnieznośniejszych wad w świecie jest upór. Grzech ten naprawił jednak w części teatr poznański dobrem wykonaniem komedji, które darowało widzom kilka chwil szczerzej wesołości. Dobrześmy się także ubawili w Eldorado na przedstawieniu operetty Lecoque'a *Giroflé-Giroflà*, odśpiewanej w Eldorado w sposób możliwy do słuchania, o co nielato w naszych teatrzykach ogródkowych. Chociaż zawsze się to niepodobna wielu moralistom o surowej twarzy i „spojrzeniu kota”, jednakże teatr Eldoradowy podług nas najlepiej spełnia swą rolę, przedstawiając



RYSZARD.

Zależy mi tylko na udawaniu przed panią obojętności, ile razy potrzebuję ułagodzić na chwilę ojca, który między mną a panią uparcie staje.

TERESA (j. w.).

I przeszkadza panu dokładnie mi się przyjrzeć. Rozumiem teraz, dla czego pan przez tyle lat naszej znajomości nie zdołał się przekonać, że ja nie jestem bezmyślnym rulonem złota, który wcale nie bada wyciągniętej po niego ręki, ale mam swoją przenikliwość i swoją rozagę. Że ojciec pański mnie odpycha, wiem, że jednak pan niezależnie od tego panią Bosławską pociągnął się starasz, że ją po swojemu kochasz...

RYSZARD.

Nie umiem tego inaczej zaprzeczyć, jak prosząc panią stanowczo o rękę.

TERESA.

Prośba pańska wcale mojemu domysłowi nie przeczy i owszem zupełnie się z nim godzi. Byłam tak dalece na nią przygotowana, że, ażeby oszczędzić panu kłopotu spłacania moim posagiem długów po ślubie, wykupiłam od brata i żydów wszystkie pańskie weksle.

RYSZARD (zmieszany).

Pani!... Na co?... Zkąd pewność?...

TERESA.

Z konieczności położenia. Ponieważ na jeden gulden majątku wypada panu sto guldenów potrzeb, więc musisz się pan ożenić bogato; ponieważ zaś w kole pańskich stosunków ja jestem najwyższą posagową cyfrą, więc musisz się pan ożenić ze mną.

RYSZARD.

Jedna drobna omyłka nieważnia cały ten rachunek: pani jesteś rzeczywiście najbogatszą w kole moich stosunków obecnych, gdybym jednakże chciał szukać posagu, znalazłbym łatwo jeszcze wyższy w nowych.

TERESA.

Niełatwobys go pan znalazł, a jeszcze trudniej dostał.

RYSZARD.

To byłaby rzecz moja.

TERESA.

I moja. Czy sądzisz, panie hrabio, że ten płochy całus, którym mi przed trzema laty tajemnie czoło zrumieniłeś, zwietrzał bez śladu, nie odcisnął się na moim sercu i nie

istotnie wesołe były niezbyt cyniczne płody swawolnej buffy, która bądź co bądź ma własność budzenia wesołego humoru w dzisiejszych niewesołych czasach.

Odbywszy niedługą wędrówkę po teatrach letnich, ukazał się niedawno *Mąż od biedy* na deskach letniej sceny, gdzie mu jednak było cokolwiek za obszernie. Ten skromny a wdzięczny obrazek folwarcznego życia, namalowany przez autora z taką miśternością zarazem i prostotą, stracił cokolwiek na efekcie w dużej sali letniego przybytku Melpomeny, gdzie na odleglejszą perspektywę nikną cokolwiek bardziej delikatne odcienia tej wielce wykończonyj i starannie studyowanej roboty autora. Chociaż jednak zmniejszył się efekt sceniczny, nie ucierpiała na tem bynajmniej artystyczna wartość tego utworu, który jest bardzo ładnym malowidłem rodzajowym, oddycha prawdą i świeżością natury. Nie wdając się w bliższą ocenę szczegółów czysto artystycznych, w wykonaniu tej komedii odznaczył się szczególnie p. Rapacki, stworzywszy bardzo sympatyczny typ białowłosego jego-kości dziedzica.

Dowiadujemy się z *Izraelity*: „Wystawienie opery Goldmarka *Królowa Saba*, wzbronionem zostało w całej Anglii. Kom-

zrodził we mnie żadnych postanowień? Nie przewidywałeś pan wtedy, że lekkomyślny żarcik, którym może setki kobiet bezkarnie zadrażniałeś, przez córkę garbafza policzonym ci będzie i stanie się pierwszym ogniem łańcucha, który pana na zawsze do niej przykuje. Za to, że pana kochałam, pozwoliłam panu aż dotąd ludzi się pozorną swobodą, ale za to, żeś pan we mnie iskrę miłości skrzesił, postanowiłam w jej ogniu ślubną obrączkę dla pana przygotować.

RYSZARD.

Na wypadek, gdybym ją chciał przyjąć.

TERESA (z naciskiem).

Posiadając weksle, na których pan usłużył nie czasem wyręczałeś w podpisach rękę ojca i stryja i których ogółem nie pokryłoby może całe pańskie mienie, o wypadku tym wątpić nie potrzebowałam. Tylko niech pana nie przerażają w mojem posiadaniu te środki, zdolne ogrzać serce pańskie dla mnie. Najszczerzej pragnę zgody i w celu przyspieszenia jej wspominałam, że zanimbyś pan zdołał w inną stronę przenieść swoje małżeńskie zamiary, ja pozbawiłabym pana co najmniej majątku.

RYSZARD (z gniewem).

To przymus niegodziwy...

TERESA.

Bynajmniej, jest to tylko nadanie kapryśnej woli pańskiej stałego kierunku. Jeżeli pan istotnie miałeś zamiar ze mną się żenić, cóż panu przeszkadza ta wiadomość, że ze mną ożenić się musisz?

RYSZARD.

Zmienia to moje uczucia tak dalece, że chętnie cofnąłbym prośbę o rękę pani i przyznał się do najgorętszego uwielbienia dla pani Bosławskiej.

TERESA.

Mnie idzie tylko o pana a nie o panią Bosławską, z którą, jeśli pan zdążysz, postąpię sobie, jak gust doradzi. Upewniam, że ani pańskie ciążenie do niej mnie nie dziwi, ani jej upadek nie zmartwi. W tryumfie pańskim widzę karę dla niej za mnie, a w pożądaniu go naturalną konieczność. Przed rokiem wezwano jednocześnie lekarza do nas obu. Mimo że ja byłam bardzo chora i płaciłam dziesięć razy więcej, on mnie poświęcił, a na wymówki potem odpowiedział: gdybym był księdzem i wezwany został jednocześnie do

Bosławskiej na zabawę, a do chorego na spowiedź, do Bosławskiej bym wprzód się udał. Zapamiętałam te słowa, i odtąd nie dziwię się nikomu, kto mnie dla niej zaniedbuje. Ale tylko dla niej! Bo kobieta, która swą pięknoscią wszystkich w obłęd wprawia, która nam chęć mierzenia się z nią odbiera, drobnego ustępstwa innej kobiety warta, zwłaszcza jeśli za nie swą godnością zapłaci. Zamiast daremnemi usiłowaniami burzyć pańską namiętność, wolałam nie tępować jej ujścia i skorzystać z osłabienia. Gdy pan już skusiłeś najpiękniejszą ze znanych kobiet, cóż panu pozostanie? Ożenić się z najbogatszą.

RYSZARD.

Samemu słuchowi bym nie ufał, że to mówisz pani.

TERESA.

Zdumiewam pana, boś mnie tak mało ceniał, że nie próbowałeś nawet zbadać, na kim opierasz plan swej małżeńskiej operacji. Zdawało się panu, że ile razy mi rzucisz garść grzecznych słówek, ja jak łatwowieńską gęś do posypanego ziarna przybiegnę i, gdy tego będzie trzeba, odpędzić się pozwolę. Tymczasem ja nigdy naiwną nie byłam, a dziś po oświadczeniu się pańskiem za naiwną uchodzić nie chcę. Tak, panie hrabio, kto szybko nie umie poznać każdej kobiety, powinien przynajmniej poznać dobrze tę, z którą do jakiegokolwiek porozumienia dojść myśli.

RYSZARD.

I pomimo to wszystko mnie pani poślubisz?

TERESA (śmiejąc się).

Nie umiesz pan sprzecznosci we mnie pogodzić? Ułatwię to panu. Przed trzema laty pokochałam pana sercem niedoświadczonem, dziś doświadczonem nie mogę się z pod władzy tej miłości uwolnić. Wiem, że pan mojemu uczuciu swoim nie odpowiadasz, ale wiem również, że pana pozyskam. Ponieważ nie jestem w stanie ani rzec się, ani otrzymać wszystkiego, więc porywam to, co mi się da: kochane ciało, w które może kiedyś miłość dla siebie natchnąć zdołam. Nie martw się więc pan, bo mieć będziesz przy obfitym posagu wierną żonę. Na dowód zaś rozpoczęcia się naszego związku przyjmij pan ten pierścionek (zdejmuje z palca i oddaje zadumanemu Ryszardowi) i po jutrze objaśnij pan wszystkim jego znaczenie. Spodziewam

pozytor otrzymał od impressaryja teatru Coventgarden w Londynie, gdzie odbywały się już próby tej opery, następującą wiadomość o losie jego utworu: W Anglii wzbronionem jest wystawiać na scenie imiona biblijne; uważają to za bezbożność, aby osoby, wymienione w starym testamencie, śpiewały, mówiły i działały na deskach teatralnych. Z tego powodu pobyt w Albionie został tymczasem *Królowej Saba* zakazany. Dopiero gdy imiona biblijne odpowiednio będą przeinaczone, akcja na inną zamienioną i do mytycznego kraju przeniesioną, i gdy wszelkie alluzje do biblijnego wypadku będą usunięte, opera będzie mogła być daną. — Świeżo uchylonym został także w izbie parów wniosek, aby w niedziele muzea były dla ludu otwarte, a to na zasadzie tego argumentu, że nie jest pożądaniem zaprowadzić w Anglii tak bezbożną niedzielę, jak ją na stałym lądzie obchodzą. Trudno własnym oczom uwierzyć, że to się dzieje w Anglii, a nie w Paraguaju.

Hejże ha!

Radują się serca zwolenników szykownego sportu, gdyż dla nich już nastały dnie uroczyste, w których koń stał się bohaterem chwili, ustępując zaledwie małą ośmiokrotną sławę człowiekowi w formie żokeja, przypominającej mimowoli darwinowską teorię.

I oto tysiące oczu spogląda na szranki, w których po długim oczekiwaniu błyskawicznym lotem co kilkanaście minut suną się wyciągnięte jak struny *vollbluty*, faworytalne stworzenia ludzi mających rodowe „szlacheckie passye”. W imię kronikarskiej wierności zaznaczyć nam wypada, że najważniejszym faktem w pierwszym dniu wyścigów było niespodziewane salto mortale jednego bieguna przez linę okalającą szranki, wskutek którego rumak stracił nagrodę, dobiegając już prawie do mety, a jeździec w dość nieprzyjemny sposób pocałował matkę ziemię bez innych nieprzyjemnych następstw.

Nie będziemy ogłaszać światu nazwisk zwycięzców, którzy zresztą syci są chwały roznoszonej na cztery strony świata przez dziennikarskich heroldów. Turniej zresztą jeszcze nieskończony, tak, że dotąd nie znamy wszystkich szczęśliwców, którym sport przyniósł sławę i... ruble.



się, że jeden dzień wystarczy panu na pożądane zakończenie stosunku z panią Bosławską. Teraz tylko do widzenia się, zdziwiony mój panie (odchodzi)

RYSZARD.

Nie... (w głębi ukazuje się Zenon z Henrykiem)

TERESA (przerwywając).

Po jutrze cierpliwie słuchać pana będą. Dziś nawet czasu nie mam, bo brat na mnie czeka. (do Gracyana, który się z Januszem zbliżył) Jedziemy? (podaje rękę Zenonowi)

GRACYAN.

Zaraz. (do Ryszarda, ściskając go za rękę) I pana proszę obejrzeć wraz z ojcem i Bosławskimi mój ogród, który (z naciskiem) dla siebie urządziłem.

RYSZARD.

Nie zapomnę. (Gracyan z Teresą oddalają się).

## ANDRZEJ TOWIAŃSKI.

(Wspomnienie).

### III.

Niwą zatem, na której wzrósł miał pierwszy posiew nowej ewangelii, była tuląca się pod obywatelski płaszcz Ludwika Filipa emigracja polska. Stare nałogi i świeże zawody dzieliły błędną drużynę na kłótlive obozy—arystokratów, demokratów, wojskowych — a tęsknota za ziemią i dokuczliwy brak chleba<sup>1)</sup> nastrojały na ton, właściwy mnichom lub wieszczbiarzom. Krzewiące się bujnie teorie socjalne i sekty religijne musiały wabić ku sobie wykołobionych przybyszów; ale ów częścią francuzki, częścią żydowsko-polski mesyanizm był ulubionym pegazem, na którym oddawna zwiędziano mglistą krainę przyszłości. Pegaz biegł dotąd po szlakach papieżkiej ortodoksji, a chociaż jeżdżący na nim posuwali się do ostrej nawet krytyki czynów Grzegorza XVI, nikt jeszcze o odstępstwie nie myślał. Owszem, usiłowano węzły odwieczne wzmocnić, i kwiat emigracji w r. 1834 połączył się, jak wiemy<sup>2)</sup>, w bractwo propagandy religijnej. Ale ten jakiś dziwny ducha kontemplacyjnego wysiłek, ta naprężona dewocyjna gorliwość mogła być właśnie dla bezstronnego spóstrzegacza znakiem, że apostazja w masce lub bez maski wkrótce się pojawi.

Mickiewicz był w tem kole jednym z jaśniejszych punktów. Losy tulaczey gromadki skupiały się w nim jak w ognisku. Inni doświadczały nędzy, i on jej doświadczał, inni marzyli, i on także marzył; a jeśli się wzbijał po nad poziom otoczenia, to tylko jako wieszcz narodowy i szczerzy chrześcijanin. Nie był to ani mędrzec ani mąż stanu, ani „najsocjalniejszy geniusz wieku”, jak mniemał Siemiński; ale była to jednostka obdarzona olbrzymim uczuciem i średnim rozsądkiem, który w chwilach przedłużonego częstokroć rozgorączkowania ducha ustępował godnej Danta, królewskiej fantazy. Że niejednokrotnie—w ostatnich mianowicie piętnastu latach — wybiegał na terytorium robót społecznych, trudno temu zaprzeczyć, lecz wtedy był on tylko nawskróś przejrystym, lekkomyślnym synem narodu, zresztą—pseudo-prorokiem Izraela, pseudo-Tyrteuszem... Nieraz w biesiadach z ludźmi spotkać się można ze zdaniem tej treści: dziwna, że Adam, człowiek niezaprzeczenie wielki, bo wielki poeta, mógł

<sup>1)</sup> W grudniu 1837 r. pisał Mickiewicz do Odyńca: „U nas tu w emigracji bieda coraz większa. Zold jednym odbierają, drugim zmniejszają: pełno nędzy i pisku — i jakiej nędzy!” (Koresp. Ad. M., tom I, str. 314).

<sup>2)</sup> Patrz art. J. B. Zaleski — *Przeg. Tyg.*, za rok bieżący, Nr. 18.

uwierzyć w Towiańskiego i mrzonki jego podzielać! Co do mnie, daleki jestem od upatrywania zagadki tam, gdzie ona wcale nie istnieje. Mickiewicz wierzył w Towiańskiego, bo wierzył w siebie; zaufał danemu kierunkowi, bo ten kierunek sam sobie bezpośrednio nakreślił. Mesyjaniczny mistycyzm ok. 1840 r. nie uchodził za rzecz nową, a poeta nasz wystąpił jako wyznawca jego i apostoł wprzód, nim się zbliżył do Towiańskiego, i nim nazwisko „Mistrza” znanem było ogółowi. Obaj zresztą—Adam wieszcz i Andrzej anachoreta — byli dziećmi wieku; tylko że pierwszy odznaczał się gruntowniejszą wiedzą i bujną fantazyą, drugi — siłą jedynie uczucia i wyrobionego już a popychającego niezłomnie na Chrystusowe tory nałogu. Poeta nazywał mesyasa „Mistrzem i Panem”, mesyasz poetę — „Bratem”; jesteśmy jednak przekonani, że ów „Brat” był nietylko „drugim Piotrem”, główną kościoła przyszłego „opoką” i współbudowniczym ewangelicznego systemu, ale podobno, jako autor *Ody do młodości*, *Księg pielgrzymstwa*, *Dziadów*, prawdziwym mistrzem samego „Mistrza”...

Równocześnie prawie z przybyciem Towiańskiego do stolicy Francji zdarzyły się dwa zasługujące na naszą uwagę wypadki. Jeden z nich szczególnie wywrzeć musiał wrażenie na ogół bonapartystów i kolonię polską w Paryżu, drugi dotknął osobiście samego tylko Adama. Domyśla się czytelnik, że mowa tu o złożeniu w tumie Inwalidów zwłok Napoleona (w połowie grudnia 1840 r.)<sup>1)</sup>, i o chorobie Celiny Mickiewiczowej, którą biedny małżonek w szpitalu obłąkanych umieścić musiał.

Oba te drobne napozór zdarzenia słały drogę naszemu prorokowi, który naśladować Chrystusa, tem się wszakże od niego różnił, że na współpracowników nie ludzi z niższej sfery, lecz górujące w narodzie powoływał jednostki. Był widać przekonany, że apostołstwo, rozpoczęte między ludem prostym, nie doprowadziłoby prędko do celu; że łatwiej będzie pozyskać tłumy, gdy zhołduje sobie tych, którzy na nie urok wywierają. Mickiewicz jaśniał już między swymi jako geniusz narodowy, a od schyłku 1840 r. zajmował europejskie stanowisko na katedrze literatury słowiańskiej w Kolegium Francuzkiem. Mimo tych wyżyn i tego blasku, troska o społeczeństwo i domowe kłopoty trapiły ciągle czule serce Adama, a niezajęta artystycznymi produkcjami fantazy stawiła przed oczy coraz to nowe widzenia. Towiański znał wszystkie *arcyducho*we poezye Mickiewicza: on na nich się kształcił, niemi częstokroć mgłę mistyczną swego umysłu nasycił; owo zaś prorocstwo z 3 ciej części *Dziadów*, zakończone tajemniczym węzełkiem „A imię jego czterdzieści i cztery”, niezrozumiałe później, jak wiemy, dla samego autora—stało się jednym z bodźców, popychających marzyciela na szerszą widownię apostołskiej działalności. Zrozumiał je on po swojemu, i (o dziwo!) w fantastycznym opisie męża, co to „na trzech stoi koronach, a sam bez korony”, przejrzał się jak w zwierciadle... Czas więc już był, aby wieszcz Adam poznał bliżej mistrza Andrzeja i słowa własne zamienione w ciało zobaczył w kształtach widocznych, dotykalnych.

W jednym z ostatnich dni lipca 1841 roku ukazał się w mieszkaniu Adama człowiek, który przypominając gospodarzowi dawną z nim znajomość, oświadczył iż jest mężem, powołanym przez Boga do podźwignięcia z upadku narodów i wyprowadzenia ludzkości całej na właściwą drogę. Upowiedział on, że zbliżają się ważne dla wszyst-

kich, a w szczególności dla garstki tulaczey wypadki; samemu zaś Adamowi, na dowód, że zna jego przeszłość, powtórzył jakąś sięgającą lat dawno ubiegłych tajemnicę, z którą wieszcz nikomu się podobno nie zwierzał<sup>1)</sup>. Najważniejszym wszakże faktem, który uczynił poetę gorliwym wyznawcą i dozgonnym przyjacielem Towiańskiego, było uzdrowienie Celiny Mickiewiczowej. Rzecz się tak miała. Za wspólną zgodą pojechali obaj do domu obłąkanych, gdzie cudotwórca rozkazał chorej ukłęknąć przed sobą, i zgromiwszy surowo, zalecił... iść do spowiedzi. Po spełnieniu przepisu żona Adama powróciła zdrowa w progi domowe. Zastanawiać się nad samym wypadkiem nie będziemy: jest on zresztą dosyć naturalny; mania bowiem chorej była przejściową, a Towiański — czy to z własnego natchnienia, czy z porady swego satelity Ferdynanda Guta—postąpił sobie bardzo trafnie, oddziaływając przez stanowczy rozkaz na wyobraźnię pacjentki.

W dniu 7 sierpnia, o godzinie 10 zrana (1841 r.) Mistrz zawarł rodzaj ślubu z trzema pierwszymi na obozynie wyznawcami—Adamem Mickiewiczem, Izydorem Sobąskim i Antonim Góreckim. Był to w jego przekonaniu czyn wielkiej doniosłości, „kamień węgielny ogromnego kołosa, prawicą Pana dźwigającego się”. Wybranej trójce odczytał wówczas uroczystym głosem pismo zaczynające się od słów następujących: „Słowianin do Pana garnący się wysłużył skarb łaski, iż Pan jemu, jak niegdys ludowi Izraelskiemu, wołę swą objawia”. W dalszym ciągu epistoły głoszone w sposób tajemniczy o jakichś bliższych wypadkach politycznych, i zachęcano do utworzenia „pod przewodnictwem Jezusa Chrystusa świętej rotę, której promienie ożywiać będą liczne zastępy”. Ową „rotę” miała być naturalnie rzęsa Towiańskiego. Wieść o proroku i o tem, że Mickiewicz w niego uwierzył przebiegła po Paryżu jak iskra elektryczna. Byli tacy, których to wzruszyło dodatnio; inni widzieli w „Mistrzu” oszusta lub waryata, nad Mickiewiczem zaś litowali się jak nad obłąkanym. Liczba zwolenników rosła powoli z dniem każdym. Około 15 sierpnia przedstawiciele różnych emigracyjnych koteryj—pod hasłem „dobrego poselstwa” łączyli się w jedno grono. Mickiewicz napisał wtedy do J. B. Zaleskiego list promieniejący dziwną pogodą ducha, i zaimprovizował wierszyk, który swą świeżością przypomina majowy poranek romantyzmu<sup>2)</sup>. Pierwsze publiczne wystąpienie Andrzeja miało miejsce d. 27 sierpnia w kościele Notre-Dame, dokąd zaproszono wprzód piśmiennie wszystkich przebywających w stolicy Francji Polaków. Mickiewicz i Towiański przyjmowali po mszy komunię, a gdy miano wychodzić, zagrzmiął u drzwi kościelnych głos „sługi pańskiego”. Dowiedzieli się tedy licznie zgromadzeni, że mowa choć nie przynosi ze sobą światowej mądrości, jest człowiekiem niezwyčajnym; że jakieś ważne od Pana Boga odebrał zlecenie, skutkiem czego będzie wkrótce na świecie daleko lepiej... Słowa niejasne płynęły w coraz to bardziej wiracyjnym potoku, aż w końcu natchniony apostoł, ogłaszając słuchaczom, iż „panowa nie Chrystusa już się zaczęło”, upadł na ziemię czołem... Był to dość ważny krok Andrzeja na drodze proroczego zawodu; związek zaś przyszłego „koła” powstał, jak są-

<sup>1)</sup> Złośliwi utrzymują, że M. powierzył był kiedyś ową tajemnicę p. Odyńcowi, ten zaś wygadał się z nią przed szwagrem Towiańskiego. Mickiewicz później o wyznaniu jej panu O. zapomniał, a wieść tymczasem zakomunikowaną została... niebu, skąd ją Mistrz wraz z mandatem odebrał, i w dobrej wierze do zhołdowania wyznawcy użył.

<sup>2)</sup> „Słowiczku mój! a leć, a piej, Na pożegnanie piej — Wylanym łzom, spełnionym snom, Skończonej piosnce twej! etc.”

<sup>1)</sup> Że wypadek ten nie przeszedł bez wpływu, dowodem tego między innymi wiersz Słowackiego *Na sprowadzenie zwłok Napoleona* (wyd. pośm., t. I, str. 53).



dzę, w Nanterre na początku września t. r., gdzie ziomkowie przebaczywszy sobie nawzajem urazy, skojarzyli się ściślej przez odpowiednią ceremonię i „pocałunek” zwany odtąd „Nanterskim”.

Skupiona u boku Mistrza drużyna przyjęła sobie za główne zadanie starać się wszelkimi siłami o nadzwyczajną moc ducha, o niebiański nastrój podobny do tego, w jakim zostawali święci z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Natchnienie, miało być czynem, a czyn natchnieniem. Za ciekawy komentarz tej zasady uważamy następujący szczegół. „Chcąc możnaby zaraz poruszyć te koszary, porwać je duchem (mówił raz poważnie, przechodząc samowtór ulicą, Andrzej do Adama) — jest na to sposób; ale biada temu, kto by wten czas drgnął z trwogi — ściągnąłby na siebie wiekową odpowiedzialność przed Bogiem”<sup>1)</sup>. Sąd powyższy jest naturalnie objawem chorobliwego naprężenia umysłu — o tyle jednak ważnym, o ile w związku z innymi przekonywa o niemożliwości spoglądania na towianizm, jako na jednolity i pogodzony z samą sobą system. Odsłania on też ową nieprzełamaną zapórę, dzielącą w mgłę szarej wyległe pomysły od dróg życia praktycznego...

Aby dojść do szczytu nadludzkiej potęgi i wykonać plany, które nawet przed okiem proroka były zakryte, pracował każdy z wiernych zarówno nad sobą, jak nad współbraćmi, zdobywając się na coraz doskonalsze „tony”, coraz silniejsze „drgnięcia ducha”. Odbywano więc pobożne schadzki, których wartość polegała na wspólnej modlitwie, gorących przemowach, wzajemnych wyznaniach i... rozkazach. Były pewne imiona (Chrystus, Matka Bozka, Napoleon), które blask świętości otaczał, były miejsca (np. Waterloo) i znaki (np. rozdawane przez Mistrza medale), którym przypisywano własność obudzania natchnień. Za księgę zaś ewangeliczną, za elementarz niejako towianizmu w „kole” i po za kołem uchodził utwór Andrzeja p. n. *Biesiada, pismo z d. 17 stycznia 1841 r.*<sup>2)</sup>. Sprobujmy zawrzeć w kilku słowach główną treść tej elukubracji.

Na samym wstępie ogłasza autor nieomylną swą naukę, która z podszeptu bożego powstała; a dalej w chaotycznym nieładzie takie rozwija teorie. Cały świat jest przybytkiem duchów, zapelniających wszystkie możliwe szczeble od ideału doskonałości i światła do martwoty i ciemności piekielnej. Człowieka uważać należy za krańcową „pochwę”, przez którą zastępy tych istot bezcielesnych wzajemnie na siebie działają. W okresie przedchrystusowym ludzie byli pastwą duchów nieczystych, aż Bóg zsyłając Nazareńczyka zaszczerpił na naszym padole pień drzewa światłości. Chrystus — to dopiero sprawił, iż posłuszne mu rzesze wyzwolone zostały z szatańskiej niewoli. Później wszakże ciemności znów zaległy ziemię. Od czasu więc do czasu wyrasta z pnia odwiecznego jedna gałąź świetlana: pojawia się człowiek, który dzięki bożemu wezwaniu, przez wielką wewnętrzną pracę sprowadza z nieba jasną kolumnę duchów, i występuje zwycięzko do walki z demonami... Wszystkich gałęzi ma być siedm. Szóstą był Napoleon, mąż z ramienia bożego, olbrzymi geniusz ubiegłej epoki, który w końcu zbłądziwszy, zerwał nie świętej sprawy pod Waterloo... Nadejdzie pora, w której całe drzewo zazielenieje, a wtedy nastaną czasy królestwa bożego na ziemi. Świta już nawet jutrzienka; bo Bóg zapowiedzianemu przez proroka (Mickiewicza) męzowi zlecił powołać pewne ludy<sup>3)</sup> do przeprowadzenia dzieła, które ma glob ziemski odrodzić. Cała ta

niepoprawnością formy językowej nacechowana ramota kończy się kilku ekstazyjnymi okrzykami, z których godne wzmianki: apostrofa do Napoleona i „toast” za pomyślność sprawy.

Taką jest w głównych zarysach *Biesiada*, utwór zamykający w sobie najogólniejszy opis demonologicznych poglądów Towiańskiego. Mickiewicz stawiał ją naturalnie na wyżynach współczesnej twórczości, a cały czwartoletni kurs „literatury słowiańskiej” jest właściwie komentarzem nowego Alkoranu<sup>1)</sup>. Dla przedstawicieli papieżkiej owczarni, dla „zmartwychwstańców” i katolików — jak Semeneńko, Witwicki i inni — jest to rzecz wstrętna, szatańska; dla nas — bałamutna, nieoryginalna i jak na biblię sekty czy religijno-socjalnego stronnictwa zanadto ułamkowa.

Powróćmy do historycznego przebiegu sprawy. Gdy Adam wraz z Sobąskim i Góreckim (który niebawem stał się apostata) przyłączyli do Mistrza, wielu błędnych rycerzy poszło w ślad za genialnym poetą. Jaki był wtedy między przebywającymi we Francji Polakami średni poziom opinii publicznej, daje nam pewną miarę list Chełchowskiego do Domejki z dnia 19 października 1841 r. „Ja (pisze Ch.) uwierzyłem w Towiańskiego na zapewnienie Mickiewicza, a to dla tego, że znam go nietylko jako największego poetę naszego, ale nadto jako praktyczną głowę (1), niełatwą do oszukania”. Co do posłannictwa Andrzeja, to typowy emigrant niezależnie od swej wiary utrzymuje, iż przedmiot ten podlegać może „trzem supozycjom: albo wszystko to jest prawdziwe i pochodzi od Boga; albo jest to dzieło czartha, który zwodzi Towiańskiego, Mickiewicza i innych; albo T. jest oszust...” (czego jednak Chełchowski nie przypuszcza). Dodamy tu nawiasowo, że autor listu zerwał wkrótce związek z towiańszczyzną; bo ojcowie zmartwychwstańcy, którym była solą w oku, przekonali go niezbitemi dowody, że jest to dzieło... czartha.

Walka między starym kościołem a nową ideą datuje się już od 1841 r. Towianizm zajmuje w niej stanowisko przeważnie odporne; bo choć dąży do reform, ale zarazem ogłasza, iż „nie rozwiązuje zakonu, że go tylko dopełnia i trzecie piętro kościoła wznosi (słowa A. M.)” Papiści natomiast — głównie zaś broniący honoru prawowiernej nacyi zmartwychwstańcy — szarpali jak mogli niewinną gromadkę „wyzwolonych duchów”. I o cóż im chodziło? O to samo, o co chodziło księdzu Surowieckiemu w namiętnej polemice z żywym i umarłym (sic!) Baudouinem mesmerystą — o przywilej rozbienia cudów... O! bo spróchniała kuźnia Piotrowa bardzo z chwilą rozniecenia nowego ogniska zagrożoną była! Śród owczarni Andrzeja panowała surowa, godna anachoretów czystość obyczajów; to też i ćda szły u nich jak z płotka. Ósmego np. grudnia 1841 r., w ołtarzu opuszczonej kaplicy Śgo Seweryna w Paryżu objawiła się... Matka Bozka Ostrobramska. Wprawdzie był to tylko zawieszony przez kogoś tajemnie obraz pędzla Wańkowicza; ale trzeba było widzieć (szkoda, żeśmy nie widzieli!), jaki entuzjazm ożywił „bohodomlców”, jak cenili niespodzianą... łaskę niebios, ile to serc w naiwnej prostocie „drgnęło” ku Panu...

<sup>1)</sup> O samym „obdarzonym łaską bożą Słowianinie” wypowiada autor *Dziadów* przy schyłku 41 r. w liście do Domejki następujące zdanie: „Jest to w moim przekonaniu największy filozof, mędrzec i polityk wieku naszego”. Godnem jest jednak uwagi, że ten sam Mickiewicz, do tego samego Domejki, pisze o Towiańskim po upływie roku niespełna w innym już cokolwiek tonie: „Im bliżej go poznałem, tem mniej znam. Origo ejus autem divina”...

## Językoznawstwo porównawcze wobec nauk historycznych.

(Dokończenie).

Wszystkie zatem narzecza indoeuropejskie są dziećmi praaryjskiej mowy, która znikła, przekazując swą naturę potomstwu. Stosunek między sanskrytem, greczyzną i innymi członkami wielkiej rodziny z jednej, a zmarłą ich matką z drugiej strony — jest w przybliżeniu podobny do tego, jaki dyalekty romańskie wiąże z ich wspólnym ogniskiem, łaciną. Pamiętajmy jednak, że mowa tu o rozradzaniu się i pokrewieństwie języków, nie zaś ludów, którym za organ myśli służą.

Lingwistyka i antropologia — to dwa niezależne od siebie porządki badań. Wejdźmy w szczegóły. Wiadomo, iż wszystkie żyjące lub skryzalizowane w pomnikach piśmiennych języki rozpadają się na grupy, których do jednego systematu sprowadzić niepodobna. Cóż ztąd za korzyść dla antropologa? Czy może on np. budować na tej specjalnej prawdzie wnioski, iż ród ludzki pojawił się w jednym lub wielu punktach. Nie. Lingwistyka porównawcza zgola nas o tem nie uwiadamia; poprzestaje tylko na wskazówce, że języki w najdawniejszej, do jakiej sięgnąć można, epoce kwitną na różnych już i dość licznych miejscach; ale nie zapominajmy, iż moment powstania szczególnych odmian mowy ludzkiej od chwili, w której człowiek wystąpił na widownię, jest przegrodzony niezmierną przestrzenią czasu. Wprawdzie ludzkość nie mogła istnieć bez sposobu wyrażania swych myśli, pierwotne jej gromady nie były dotknięte niemotą; lecz między gwarą z tej przedhistorycznej doby a ukształtowanymi, jak indoeuropejskie lub semickie, językami wielka zachodzi różnica. Jakiej mowy używali owi najdawniejsi, dwunożni mieszkańcy ziemi, łatwo powziąć wyobrażenie, badając języki dzisiejszych ludów Oceanii. Ubóstwo tych lingwistycznych niemowląt, wsparte gestem i dźwiękami naśladowującymi naturę, zaledwo zdobyć się może na oddanie najprostszycych pojęć. Jestto gwara pierwotna, nieujęta, język w stanie rudy kruszcowej.

Fakt ukazania się wielkich gramatyk, jak gramatyki indoeuropejskiej, semickiej, berberyjskiej, jest w samej rzeczy bardzo starożytny; ale jestto fakt, który w przybliżeniu można chronologicznie oznaczyć. Mamy np. pomniki sanskrytu, powstałe przed trzema tysiącami lat; pomniki hebrejszczyzny, sięgające tej samej prawie doby; przez Babilon i Chiny zagłębiają się jeszcze dalej; przez Egipt cofamy się myślą w przeszłość o sześć czy siedm tysięcy lat, a nie ulega wątpliwości, że ukształtowanie mowy egipskiej wyprzedziło epokę wzniesienia najdawniejszych piramid i obelisków. Mimo to, powtarzam raz jeszcze, iż zanim języki osiągnęły dany szczebel doskonałości, gramatyka ich zostawała przez wieki w stanie brylowatym, rudymmentarnym. Ogniska zaś, owe gniazda pierwotne, w których języki doszły do pewnej określonej formy, zamykały się w szczupłych prawdopodobnie granicach; inaczej bowiem trudno by było sobie wytłómaczyć, w jaki sposób gromada ludzi przyjęła jedną mowę przy schyłku zapadłej przeddziewowej chwili, gdy ani mistrzów, ani organizacyi państwowej nie było.

Jeśli więc pojawienie się rodzin językowych nie ma nic wspólnego z zagadnieniami, jakie rozwiązuje antropologia, to i podziały, zaprowadzane przez lingwistów, będą zgola niezależne od systematów antropologicznych.

Językoznawstwo porównawcze, według

<sup>1)</sup> Słowa te zostały powtórzone przez Mickiewicza na zebraniu koła w d. 16 maja 45 r.

<sup>2)</sup> Wyszła w 1841 r.; drugie jej, zmienione wydanie ukazało się w cztery lata później, p. t. *Biesiada z bratem Karolem* (Różyckim).

<sup>3)</sup> Polaków, Żydów i Francuzów.



naszej hipotezy, nie dostarcza prawie żadnych danych dla antropologii. Są wprawdzie szczepy, są plemiona lingwistyczne („races linguistiques”); ale te nie utożsamiają się z grupami, których cementem jest wspólność krwi i pochodzenia. Jakto, powiecie, czyż nie można wnioskować w ten sposób: dany naród mówi językiem indoeuropejskim, a więc do plemienia indoeuropejskiego należy? Syllogizm taki w pewnej mierze jest sprawiedliwym; że jednak nie wypada go nadużywać, zaraz się o tem przekonamy. Lud np. nadsekwański mówi językiem francuskim, który powstał z rozkładu łaciny; ostatecznie więc mówi po łacinie; ale czy przodkowie jego przed dwoma tysiącami lat po łacinie także mówili? Bynajmniej; używali oni mowy galskiej, która mimo iż liczne po sobie zostawiła ślady, dzisiejszym Francuzom bardzo mało jest znana. Jakiemuż wypadkowi mamy to przypisać? Podbojowi naturalnie Galii przez Cezara (ok. 55 r. przed Chr.), czego bezpośrednim skutkiem było narzucenie ludom pokonanym języka zwycięskiej Romy. Przodkowie Francuzów, porzucający mowę celtycką dla rzymskiej, nie przekroczyli przynajmniej lingwistycznych granic szczepu indoeuropejskiego; ale obaczmy, co się stało w Egipcie. Tam lud mówi po arabsku; miejsowoy zaś, koptyjski język szczupłej zaledwo garstce mieszkańców jest znany. Z tem wszystkiemu nie jestto kraj arabski; chociaż zostały w nim wyraźne ślady mużmańskiego najazdu.

Wypadki więc polityczne psują bieg naturalny, wklajają przedzę lingwistycznego rozwoju. Przewroty jednak takie są badaczom znane, i niepowtarzają się zbyt często w historii. Wprawdzie oprócz Rzymian i Arabów, Grecy, Indyjanie, Chińczycy—że pominiemy tu już nowożytny lud—zaszczepiali wraz z cywilizacją i język swój na obcej niwie; ale nie przypuszczamy, by podobne rewolucje mogły być dokonane bez zostawienia po sobie widocznego śladu w dziejach. Lud, który drugiemu narzuca swój język, musi być liczny i do pewnego stopnia rozwinięty duchowo; zkaąd wynika, że czyn tak wielkiej doniosłości nie jest zgoła możliwym w epoce przedhistorycznej, poprzedzającej wynalazek pisma.

Z tego, cośmy dotąd rzekli, mógłby ktoś wnioskować, że językoznawstwo porównawcze żadnego pozytywnego nie przynosi owocu. Tak wszelako nie jest. Mowa ludzka to pochodnia budzącego się ducha. Lingwistyka tedy nie wkracza prawie w dziedzinę antropologii i etnologii, nie zajmuje się człowiekiem jako zwierzęciem, ale winna być uważana za potężny wykładnik dziejów cywilizacji. Usługi oddawane przez nią naukom historycznym są pierwszorzędne; niedewszystko wtedy, gdy jej nie rozłączamy z rodzoną siostrą, mytologią porównawczą. W istocie też od lat dwudziestu pięciu czy trzydziestu uczeni europejscy<sup>1)</sup> dowiedli, że jedność indoeuropejska polega nietylko na języku, ale i na mytologii. Nie widzimy w tem nic dziwnego: losy mowy muszą być ściśle związane z losami powieści o rodzinnych bogach. Czemże bowiem jest mytologia, jeśli nie plastyczniejszą stroną języka; czem jest mowa ludzka, jeśli nie formą służącą do odlewu wszelkich mytologii?

Oprócz mytologii porównawczej, zrodzonej pod światłem językoznawstwa, dochodzimy przy pomocy naszej umiejętności do poznania źródła zwyczajów i obyczajów, które w żadnym dzisiaj nie zapisane kodeksie przechodzą, niby podziemnym nurtem, z pokolenia w pokolenie, a choć utraciły dawno rację istnienia, pielęgnowane są jeszcze przez bardzo częstokroć oddalone od siebie i nieznające się nawzajem narody. Jest-

to także kryterium wspólnego pochodzenia, mające niekiedy taką wartość, jak język i mytologia.

Plemię—to fakt, który stopniowo z przed oczu naszych znika; ale w swoim czasie było ono wszystkim. Gdyby ramy skromnej pogadanki nie stały na przeszkodzie, wykazałbym: w jaki sposób z pierwotnego, idealizującego przyrodę ducha rasy indoeuropejskiej wyszła mytologia, óra języka; dalej—epopeja, óra mytologii, a tuż za nią metafizyka, która nie jest niczem innym, jak *sui generis* mytologią; starałbym się wreszcie dowieść, że sama wiedza pozytywna przedstawia ostatni szczebel w rozwoju tegoż ducha, i że to wszystko ma związek z budową naszej mowy oraz z owymi prastarami zasadami, jakie przyjęli a uświęcili najdawniejsi patryarchowie aryjskiego plemienia. Wykazałbym też równolegle, w jaki sposób z ducha właściwego rasie semickiej wyrosła religia zwana monoteizmem. Pod obecną porę nasza starożytna rasa indoeuropejska zachowała wprawdzie swój język, ale porzuciła bogów rodzimych; wszystkie bowiem należące do niej ludy—z wyjątkiem parsów<sup>1)</sup> i brahmanów—skłoniły się ku monoteizmowi, przyjmawszy go pod postacią judaizmu, chrześcijaństwa lub mużmaństwa.

Próbowałem powyżej—mówi kończąc swą pogadankę autor—okazać o ile było można, iż na gruncie lingwistyki porównawczej łatwo bardzo wyprowadzić błędne wnioski ku wyjaśnieniu niby, a w istocie ku zaciemnieniu zagadek przeszłości; kusiłem się o dowiedzenie, że mowa jest niedostatecznym kryterium do poznania rasy, i że o tej ostatniej z wielką ostrożnością decydować należy. Dopóki, pełni opartych na niwie językoznawczych uprzedzeń, gospodarujemy w skarbcu historii, wyrokując o rzeczach bezpowrotnie minionych, dopóty płodzimy tylko fałszywe teorie, a zło, jakie ztąd wynika, jest natury czysto spekulatywnej; o ileż natomiast osnute na ślepej wnioskowaniu błędy będą szkodliwsze wtedy, gdy przedmiotem rozprawy są już nie trupy wygasłych plemion, lecz gromady ludzkie w pełni swego rozwoju, uczucia żywe i sprawy bieżące... Oto godna zaprawdę Renana, ale zarazem ostatnia myśl, na jaką w danej rozprawie pisać się możemy. Pogląd bowiem, będący logicznym uwięzieniem całości, traci zanadto ideologią i oderwanym od pozytywnych badań sentymentalizmem, abyśmy go bez zastrzeżenia za własny przyjęli mieli. Poznajmy jednak tę koronę straszczoną przez nas pogadanki. Szanowny mówca wychodząc z zasady, że uczucia szlachetne kwitną po za granicami różnic językowych, że gromady ludzkie, mimo braku wspólności lingwistycznej, dają częstokroć do jednego i tego samego ideału, głosi, iż naród dla niego jest organizmem *bezw warunkowo* niezależnym od języka<sup>2)</sup>. Po nad mowę i kresy plemienne (mówi on dalej), po nad religię i warunki geograficzne—stawiamy moralny ideał człowieka; prawdziwą więc podstawą narodu, po za rasą i językiem, jest owa wewnętrzna zgoda, odzywająca się w pojedynczych jego składnikach, owa dążność do przedłużania wspólnego żywota. Aby dowieść, że definicya nie mija się z prawdą, wskazuje mówca na Szwajcaryę, gdzie mimo czterech kwitnących wśród szczupłego obszaru ziemi języków, dwu czy trzech wyznań religijnych i wielkiej różnorodności plemiennej, społeczeństwo stanowi jedność i jako naród kroczy sfornie po dziejowym gościńcu.

Piszemy się chętnie na moralną podstawę

<sup>1)</sup> Wyznawcy Zoroastra, zwani dawniej Gwebami, zamieszkujący w części ustronne okolicy Persyi, w części Indye przedgangesowe.

<sup>2)</sup> „La nation pour nous est chose absolument séparée de la langue”.

powyższego określenia, przyznajemy że Renan, wpadając w ton godny Sokratesa, występuje tu przed słuchaczami jako prawdziwy obywatel świata; ale przyklasując odrębnie rozważanym *premissom*, wyłączamy wysnutą z nich definicyę narodu. Szwajcarskie społeczeństwo żyje w szczególnych geograficznych warunkach, a będąc tem samem do pewnego stopnia anomalią, nie może służyć za stwierdzenie hipotezy Sorbońskiego prelegenta. Naród wprawdzie to człowiek zbiorowy, ożywiony iskrą wspólnych pamiątek i celów; lecz owo tężno, ów cement wewnętrzny, dzięki któremu mnogość staje się jednością, może być utrwalonym jedynie przez właściwy sobie wyraz, a takim jest mowa ojczysta, i żywotny jej potok, literatura.

Na tem kończymy sprawozdanie z wydrukowanego w *Revue politique et littéraire*<sup>1)</sup> odczytu, któremu oprócz idealistycznej konkluzji to chyba jedynie zarzucić można, że opracowywa przedmiot ze strony przeważnie polemicznej i negatywnej.

A. G. B.

## LISTY Z WŁOCH.

### II.

Ilość i jakość włoskiego duchowieństwa.—Licytacja in plus papieżstwa i rządu włoskiego.—Jej skutki.—Stosunek ludu do księży.—Usposobienia klas wyższych i niższych.—Pobożność Włochów.—Kto temu winien? — Stan materyalny ludu.— Obecna nędza skutkiem kryzysu ekonomicznego.— Południe i północ.—Usuwanie się duchowieństwa od oświaty i sztuki.—Stosunek papieżstwa do Włoch.— Co się o tem mówi w Europie, a co jest w Rzymie.— Watykan i Quirinal.—Nowe drogi.—Życie w Watykanie.—Nie można się dłużej ludzi.

Nawet najbardziej powierzchownego badacza Włoch dwa niezawodnie fakta uderzą na pierwszy rzut oka: obfitość duchowieństwa i jego stosunek do ludu. Już w Weronie i Florencyi sutanna, skrzydlaty kapelus, pończochy i trzewiki sacerdoty mieszają się dominująco z resztą tłumu; ale jeżeli w Wenecyi spotykamy księży na każdym kroku, to w Rzymie mamy ich dwoóm, w Pescarze trzech, a w Neapolu dziesięciu! Gdziekolwiek obrócimy się, do winiarni czy traktyerni, ogrodu publicznego czy muzeum lub kościoła—wszędzie i zawsze zetkniemy się ze stereotypową, dobrze spasioną, starannie wygoloną, porządnie odzianą, mglisto uśmiechniętą postacią włoskiego abusa. Typ ten sam przez się nie budzi żadnego zajęcia, a tem mniej sympaty, uważany z jakiegokolwiek strony; jeżeli nasz polski proboszcz w sutannie, palonych butach—mości dobrodzieju—co to do niedawna gospodarzył i swarzył się na kawałku gruntu, przedstawia typ zakuty formułkami szlachecko-polskiej inteligencji, ale często nie bez szczerzej wiary i naiwnej poczciwości; jeżeli ksiądz francuzki stara się usilnie o połączenie wiedzy z teologią, a duchem poświęcenia jako missyonarz zadziwia i do poszanowania zmusza;—to sacerdot włoski niczem nie jedna, niczem nie nęci, niczem nawet nie zaciekawia.

Na równi z żebrakami, ciceronami, custodami wyzyskuje swe stanowisko: żyje i używa cudzym kosztem bez pracy. Jest to najdoskonalszy typ samoluba, przetrawiającego miód zgromadzony pracą innych. Jeszcze w niższych słojach duchowieństwa świeckiego, mianowicie prowincyj północnych, żyje patryotyzm włoski i to łączy je z krajem, z ludem. Wie rząd włoski, wiedzą o tem wszystkie w kraju stronictwa i nie szczędzą niczego, aby przez ulepszenie stanowiska duchowieństwa niższego zapewnić sobie jego współdziałanie i przychylność. Uczucia

<sup>1)</sup> Patrz: N. 37, 16 marca 1878.

<sup>2)</sup> Max Müller, Bastian, Steinthal i inni.



patryotyczne do włoskiej jedności i potęgę słabną jednak w miarę stopnia geograficznego ku południowi, a stan apatyczny neapolitańskiego kleru tylko z ciemnotą tamtejszego ludu da się porównać. Wyższe więc duchowieństwo włoskie, trzymające z Watykanem, pojmując bardzo dobrze oba odcienia, na jakie się niższy kler rozpada i resztkami swej duchownej władzy stara się podtrzymać wpływ na tę potężną armię mniszczą i księża.

Podobnego rodzaju współzawodnictwa między dwoma prądami, rządzącymi dziś półwyspem, wytwarzają dla duchowieństwa włoskiego stan wyjątkowy — wielką moralną bezkarność. Alokucje papieży, listy pasterskie kardynałów i biskupów dużo mówią o zepsuciu społeczeństwa, o złem, jakie się rozszerza między owieczkami — a czego powodem mają być zasady liberalne i dążenia wolnomyślnie; ale zaiste wszystkie przemilczają o gangrenie, jaką rozlewa w łonie ludu życie samych dusz pasterzy. Począwszy od soboru Trydenckiego aż do Leona XIII-go, wszyscy papieże podobno myśleli o reformie obyczajów duchowieństwa, lecz żaden nie śmiał dotknąć złego, tak ściśle łączą się podstawy papieżkiej władzy ze społecznym układem życia członków duchownej hierarchii. Czem zaś jest życie wyższego duchowieństwa we Włoszech, jakie są jego obyczaje, najlepiej odsłonił nieukończony jeszcze proces Antonelli-Lambertini; a jeżeli tak blisko papieżkiego tronu mógł wykwitnąć taki skandal — co się dzieje na niższych stopniach? Lecz nie wglądając nawet w domowe duchowieństwa włoskiego sprawy, nie wywołując tych brudnych społecznych, jakie tu zresztą opinia lekko i z poślazaniem traktuje, trzeba uznać, że wpływ księży na życie narodu włoskiego w klasach niższych jest *ujemny*, w wyższych — *żaden*. Między stanami świeckim a duchownym panuje niesłychana oziębłość, zupełny brak jakiegokolwiek łącznika i spójni — a to jest drugim niezaprzeczonym faktem, który się we Włoszech rzuca w oczy. Nasz wieśniak, a nawet wieśniak niemiecki — są dla sukienki, jeśli nie dla osoby duchownej, z szacunkiem; we Włoszu ani sukienka, ani osoba duchownego nie obudzają czci — ale przeciwnie obojętność lub lekceważenie. Ilekroć byłem świadkiem w Neapolu, jak za ukazaniem się duchownego przy wspólnym obiedzie hotelowym zebrane towarzystwo świeckie przenosiło się w inną stronę sali, na przeciwny róg stołu. Wieśniak włoski, jadąc kariklem, z najchłodniejszą obojętnością mija swego duchownego ojca i ani pomysłli wziąć go na wózek, chociaż ksiądz brnie piechotą w upale południowym ku jednej z nim wiosce. Gdyby lud włoski w znacznej swej masie nie był jeszcze tak przesądnie ciemny, gdyby nie obawiał się zemsty niebios, ani połowa żebraczych zakonów nie mogłaby się tu utrzymać; składane ofiary okryte są zawsze przekleństwem ofiarodawców, a z tego porządna porcja epitetów dostaje się niezmiernym patronom klasztorów. We Włoszech głównym, jak zresztą wszędzie, narzędziem duchowieństwa są kobiety, które ulegają wpływowi księży, chociaż są mniej niż gdzieindziej pobożne. Już to polskie przysłowie: „włoskie nabożeństwo — błazenstwo” granitową zawiera prawdę. Nigdzie kościoły nie stoją bardziej puste, jak we Włoszech: jeżeli bowiem są otwarte, to tylko dla cudzoziemców, ciceronów i zakrystyanów. W niedziele i święta w katedrze S-go Marka nie naliczysz i stu osób na sumie. Tylko wielkie, wystawne uroczystości kościelne gromadzą tłumy, a podobny magnes przyciągający ma kilka miejsc cudami słynących. U S-go Antoniego w Padwie o każdej porze dnia zastaniesz wieśniaków, z różnych części półwyspu przybyłych, aby przytknąć ręce do grobu

świętego Cudotwórcy w nadziei otrzymania pomocy w zamierzonym przedsięwzięciu, chociażby szło o wygranie na loteryi lub okradzenie swego współziomka. Lecz wszystko się na przytknięciu ręki i odklepaniu krótkiego pacierza kończy; zresztą na to, co się znajduje w kościele, wieśniak okazuje się obojętnym, powiemy nawet, iż świętość miejsca żadnego w ludzie nie budzi szacunku. W dniu skwarne chroni się Włoch do świątyni, bo tam jest chłód przyjemny i bardzo stosowne miejsce do obrania się z robactwa. W przysionkach niektórych kościołów neapolitańskich, nie wyjmując katedry (S. Genaro), trzeba bardzo ostrożnie chodzić, aby nie nadeptać rzeczy, z którymi — jak mówi przysłowie — najlepiej nie stykać się nigdy. W ogromnej i wspaniałej bolońskiej katedrze, celem ułatwienia kaznodziejom ich zadania bez zerwania piersi, a wiernym słyszenia mówców, zawieszono poziomo w połowie nawy wielką ogromną słomianą matę; otóż wszyscy Włosi, znajdujący się pod matą, uważają to miejsce za wyjęte z pod praw kościelnych i siedzą w kapeluszach, przysłuchując się w przerwach drzemki gorącym zapędom swych mówców.

Fakta te, a moglibyśmy przykłady pomnożyć, świadczą, iż nawet na zewnątrz lud włoski nie zatrzymał tych praktyk religijnych, o które tak wiele chodzi ortodoksyi katolickiej — na wewnątrz zaś pobożność tego ludu jest zabobnem, częstokroć bardzo grubym i na uczuciu przestachu opartym. Nigdzie też stosunki społeczne z powodu braku oświaty i zwicniętego wychowania nie są bardziej anormalne, jak w prowincjach południowych włoskich. Pojęcia o uczciwości, zacności, o tem, co się godzi a co nie godzi, są tutaj dalekie od tego, co zwykle pod temi wyrazami rozumiemy.

Mafia, kamora, najgrubsze oszustwo, wyzysk, gwałt, żebraństwo, kradzież, rozbójnictwo, wstręt do pracy — wszystkie te plagi razem i każda z osobna — trapią niższe i wyższe słoje społeczeństwa neapolitańskiego. W Neapolu, na ulicy S-tej Łucyi, omal nie ukradziono w czasie jazdy dorożką palta jednemu z moich znajomych w południe; tysiące osób patrzyło jak zręczny złodziej, uwiesiwszy się z tyłu powozu, ściągał pożądany przedmiot — i nikt ani słówkiem nie przestrzegł uszkodzanego. Dopiero gdy podróżny sam się opatrzył wczasy i kilkoma razami laski ukarał złoczyńcę, powstał na ulicy ogólny śmiech ze złodzieja, któremu nie udało się sztuka. — Podobne wypadki są faktami codziennymi i nigdzie bardziej jak tu nie jest sprawiedliwą uwaga: iż złodzieja nie za to biją, że kradnie, ale że się da złapać.

Przypisywać ten stan rzeczy ideom liberalnym mogą tylko encykliki i listy pasterskie lub jezuickie kazania; lud neapolitański w ogólnej masie nie umie czytać, bo go księża nie nauczyli — nie słyszał więc nigdy o niczem innym jak o tem, co mu powiedzieli jego duchowni przewodnicy w sutannach. Obecny więc stan społeczeństwa neapolitańskiego przypisać trzeba wyłącznie tym, co się około moralnego wychowania tego społeczeństwa krzątało: rządowi Burbonów, opartemu na cudzoziemcach i duchowieństwie — a jest to świadectwo smutne i okropne, co się staje ze społecznością w rękach licznego i wyzyskującego jezuityzmu. Zanim jakakolwiek poprawa w moralności ludowej nastąpi pod wpływem obecnych instytucyj i obecnego wychowania — południowa połowa Włoch długo sterzyć będzie jako ohydny pomnik, świadczący, iż przy najpiękniejszej przyrodzie, przy bogatych darach klimatu i położenia geograficznego, lud w rękach niesumiennych wyzyskiwaczy wiekowymi wpływami doprowadza się zawsze do stanu moralnego i materialnego upadku. Rządy bowiem nea-

politańsko-rzymskiego duchowieństwa nawet pod względem materialnym są smutną nader pamiątką. Najlepiej to przedstawia obecny kryzys ekonomiczny, jaki wynikając z ogólnego położenia Europy, nawiedziwszy po kolei różne kraje, nie pominął Włoch, ale przeciwnie dotknął je jeszcze silniej. — Ogólny bilans handlowy za pierwszy kwartał bieżącego roku wykazuje o 53 miliony franków mniejszy obrót targowy, niż w takimże kwartale roku zeszłego. Oprócz tego zawodne, bo zbyt gorączkowo przedsiębrane gospodarcze roboty po włoskich miastach, rządzących się autonomicznie, jak Florencyja, Ankona, Palermo, Neapol — przywiodły te gminy do bankructwa, co powstrzymało pracę i ścięsiło źródła zarobku dla klas roboczych. Nareszcie w tym roku notuje się ogólnie ogromna niżka w liczbie zwiedzających Włochy podróżników, którzy tu każdej zimy ogromne zostawiają kapitały. Anglików, zajętych od roku polityką, było bardzo mało, Rosyan wcale nie było; trocha Niemców, jaka się po półwyspie kręci, sprawia więcej krzyku i zamieszania, niż daje targu lub zarobku. Magazyny florenckie na Tornabuoni, rzymskie na Corso, neapolitańskie przy Toledo — stoją pustkami; ceny zbyt kosztownych przedmiotów ogromnie spadły — a kupcy z utęsknieniem witają kupujących.

Stan taki nie mógł nie oddziać na klasy niższe i trudno powiedzieć, aby obecnie zastawały one w kwitnącem położeniu. — Wprawdzie doskonale zbiory, jakie się zapowiadają w całych Włoszech, oddalają wszelką obawę klęsk na większą skalę; lecz nędza ludu roboczego po miastach obecnie przejawia się bardzo widocznie. Nigdzie jednak objawy tej chwilowej niemocy ekonomicznej nie przybrały obszerniejszych rozmiarów, jak w Neapolitańskiem — gdzie po miastach grasuje już tyfus głodowy! Lombardia, Piemont, Toskania — opierają się wytrwale trudnościom ekonomicznego położenia, które więcej te niż inne, jako przemysłowe prowincje, dotyczą. Południe bogate rolnictwem nie może się na chwilę obronić przed kryzysem, gdyż nie znajduje w sobie dość sił moralnych, ani materialnych zapasów nagromadzonych w przeszłości. Lud nic nie oszczędza, lekkomyślnie przejada, co zbierze, a gdy mu niedostatek zagrozi, odprawia pielgrzymki, pobożne nabożeństwa, które go jeszcze bardziej rujnują.

(D. n.)

## ZE SZWAJCARYI.

### II.

Czego najprzód społeczeństwu potrzeba, zdrowia, czy oświaty? W wielu krajach, gdzie hasłem zabiegów i dążeń przodujących ludzi jest oświata ludowa, powyższe pytanie wydałoby się wcale nie na miejscu i nikt z szczerze ludzką miłujących nie wahałby się tam odpowiedzieć, że sprawa oświaty pilniejszą jest od sprawy zdrowia. Do niedawna tak się rzecz miała także w Szwajcaryi. W ostatnich czasach jednak zaszła pod tym względem pewna zmiana. Hasło: naprzód zdrowie, potem oświata, zaczyna sobie jednać coraz większą liczbę zwolenników i rozpowszechnia się coraz bardziej przekonanie, że stare, na wskroś realistyczne przysłowie *in sano corpore mens sana* prawdziwym jest nietylko w zastosowaniu do pojedynczego człowieka, lecz także do całego społeczeństwa.

Co po oświacie, choćby najszerzej rozlanej, — mówią rzecznicy nowego kierunku — jeżeli ludzi nie przestaną dziesiątkować choroby i zarazy? Najdokładniejsza znajomość drogi prowadzącej do dobrobytu, najdosko-



nalej obmyślone sposoby utrwalenia i zabezpieczenia jego rozwoju na nic się nie zdadzą, jeżeli najlepsze siły społeczeństwa w pełni swej działalności ciągle będą musiały ulegać tyfusowi, suchotom, cholercie, i t. p., a nadzieję przyszłości, młode pokolenie oddać wypadnie bez oporu na pastwę tuberkulom, skrofulom i innym wycieńczającym chorobom. Zabraknie z czasem rąk do zbierania plonów oświaty. Zabezpieczyć więc najprzód wypada fizyczne zdrowie ludności, a praca około szerzenia między nią światła pójdzie daleko raźniej.

Słyszając i czytając takie rozprawy, skłonny jest zrazu do podejrzewania ich szczerości. Lękasz się, aby w zabiegach około zdrowia nie utonąła sprawa, dziś niezaprzeczenie najświętsza i najbardziej nagląca. Wniknąwszy jednak w rzecz głębiej, przychodzisz do przekonania, że nowy ten kierunek nie tylko w niczem uszczerbku oświacie przynieść nie może, lecz nadto najdzielniejszą do posunięcia jej naprzód jest sprężyna. Naprzód bowiem zrodzić on się może tylko wśród społeczeństwa, które znaczenie jego i pożytek pojąć jest w stanie, a przeto pewnego stopnia oświaty już osiągnęło. Bez poprzedniego przygotowania ludności niepodobna podnosić takich kwestyj. Musi ona posiadać jasne o warunkach istotnego dobrobytu wyobrażenia, aby zrozumiała, iż nie masz go i być nie może dla jednostki, gdzie brak go ogółowi, zaś jednym z główniejszych warunków dobrobytu ogółu jest zadawalniający stan fizycznego zdrowia. Nic łatwiejszego wprawdzie, jak przekonać się, że dobre powodzenie całej rodziny cierpi, gdy choćby jeden tylko z jej członków obłożnie jest chorym; trzeba już jednak posiadać gruntowną znajomość zasad gospodarki społecznej, aby dopatrzeć naprzód, że istotny dobrobyt społeczeństwa na tem niższym stopniu rozwoju się znajduje, im większa jest ilość rodzin, w których on jest zagrożony, chociażby przytem wzrastał się coraz bardziej u pewnej ograniczonej liczby jednostek; potem, że nie może być mowy o trwałych jego podstawach tam, gdzie zdrowie fizyczne ludności wiele pozostawia do życzenia. Nieoświecone społeczeństwo nie zrozumie cię także, jeżeli mu powiesz, że stan zdrowia tego użyciem rozmaitych, zbiorowemi siłami przedsięwziętych środków zaradczych da się prawie zawsze doprowadzić do kwitnienia, i że nauka lekarska właśnie w staraniach około zachowania zdrowia jest nierównie możniejszą i poradniejszą, niż w zabiegach około przywrócenia go, gdy utraconem zostało. Musi ktoś znacznie już być posuniętym w dziedzinie nauk przyrodzonych i w znajomości człowieczego jestestwa, aby w tyfusie, suchotach, cholercie i innych tak zwanych chorobach ludowych przestał upatrywać zrzędzenie sił nadprzyrodzonych, które da się zażegnać również nadprzyrodzonymi tylko praktykami, i pojął, że powietrze, którem oddycha, ziemia, na której mieszkania wznosi, domy, w których przebywa, woda, którą pije, żywności i napoje, których mu inni dostarczają, mogą zbawienie lub zgubnie wpływać na zdrowie nie tylko pojedynczych ludzi, lecz całych miast i okolic; że wszystko to, choć się usuwa zupełnie z pod panowania jednostki, zbiorowemi siłami o tyle polepszonym być może, że zły wpływ, który wyrzucił jest w stanie, do najmniejszego da się sprowadzić mianownika. Jeżeli zaś z jednej strony widocznym jest, iż nowy ów kierunek, stawiający na pozór zdrowie na pierwszym, oświatę na drugim planie, może się tylko objawić tam, gdzie ostatnia do pewnego dojrzała już stopnia, to z drugiej strony nie mniej żadnej nie podlega wątpliwości, że staje się on pożądanym do szerzenia jej bodźcem. Nad urzędywistnieniem zadania bowiem, tym kie-

runkiem objętego pracować musi całe społeczeństwo; innemi słowy całe społeczeństwo musi dążyć do coraz dokładniejszego poznania otaczającej je przyrody, zbadania jej sił, wyzyskiwania tych, które są dlań zbawienne, panowania nad temi, które mu zgubą grożą. A możnaż oświacie szersze, nad te, zakreślić granice?

Państwka szwajcarskie mniej więcej od dawna zwracały już uwagę na tę gałąź państwowej administracji, która się zowie publiczną służbą zdrowia. We wszystkich ustawach kantonalnych można było spotkać się z mniej więcej rozumnymi i nauce odpowiednimi przepisami sanitarnymi, których wykonywanie przestrzegały osobne rządowe organa. Ogólny stan zdrowia jednak nie był zadawalniający. Z Bazylei, Zurychu i innych znaczniejszych miast tyfus nie ustępował. A pojawiła się cholera, to ludność przeciw niej stała bezbronna, mimo że i jednej i drugiej choroby istota była zbadaną przez naukę, nie do gruntu wprawdzie, jednak dość blisko, aby obojgu skuteczną położyć tamę. Zaczęto się więc pilniej, jak dotąd, tą sprawą zajmować. Badano stosunki sanitarne innych państw, porównywano statystyki śmiertelności i nabrano przekonania, że złemu zaradzić skutecznie nie są w stanie ani przepisy sanitarno-polioyjne, ani organa centralne, jeżeli sam ogół w publicznej służbie zdrowia jak najczynniejszego nie bierze udziału, t. j. jeżeli nie istnieje pod tym względem decentralizacya i nie ma kontrolowanego samorządu mniejszych centr czyli gmin. Anglia szczególnie dostarczyła tu przekonywającego dowodu. Odkąd bowiem służba publiczna zdrowia przeszła tam na szersze koła i cała ludność nią się zainteresowała, śmiertelność spadała zaczęła coraz bardziej, aż doszła do 23%, liczbą najmniejszej, jeżeli się nie myli, w Europie. Nic dziwnego, że tego samego rezultatu zapragnęli także Szwajcarzy. W miastach najbardziej dotkniętych rozpoczęła się propaganda piśmem i słowem; przekonywano, nawoływano do ofiar, budzono z uspienia. Bazylejczycy, St. Gallenczycy, Newszattelianie, Lucernoczycy dali się namówić do utworzenia gminnych organów publicznej służby zdrowia. Zuryskanie usłuchali przekonywającego głosu jednego z profesorów swojej wszechnicy, nie poszczędzili setek tysięcy franków, przeprowadzili kanalizacyę i wodociągi, i tyfus prawie zupełnie z miasta wykorzenili. Zeszłego zaś roku uchwalili ustawę sanitarną, która jest wyrazem wszelkich na tem polu dotąd zrobionych doświadczeń. Równocześnie i rząd związkowy uważał za swój obowiązek nie pozostać w tyle tego ruchu i wniósł do izb prawodawczych projekt do jednolitej dla całej Szwajcaryi ustawy medycznej, który został przyjęty i kilka miesięcy temu stał się prawem obowiązującym. (D. n.)

## Z prowincyi.

### IX.

Z Płockiego: Nakoniec po długiej suszy, która już obiecywała sprowadzić za sobą zmniejszenie zbiorów, doczekaliśmy się deszczów. Zbiory tegoroczne będą, o ile sądzić możemy, korzystne dla właścicieli gruntów; szczególnie rzepaki i oziminy wrożą plon obfity. Obywatele, korzystając z wysokich cen zbożowych, zawczasu robią interes, obawiając się zniżki. Ceny rzeczywiście są nadzwyczaj wysokie.

Pomimo to jarmarki były bardzo mało ożywione. Przyjeżdżano na nie więcej dla zwyczaju — lecz ani kupujących, ani sprzedających nie było wiele.

Stagnacya handlowa we wszystkich gałęziach odczuwać się daje, co możemy po-

twierdzić faktem, jaki miał miejsce przed kilkoma dniami w jednym z miast guberni Płockiej.

Rzecz tak się miała: Doktora z Płocka zawezwanego do pewnego obywatela na wieś, zaprosił aptekarz, aby raczył w przejeździe wstąpić do miasta, gdyż żona jego zasłabła niebezpiecznie. Doktor chętnie usłuchał prośby, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ledwie zdążył wysiąść z bryczki, usłyszał odgłosy bębna, poczem wołanie: „Oto w tej chwili przyjechał doktor z Płocka! Kto więc żąda porady, niech natychmiast spieszy do mieszkania aptekarza — gdzie doktor zatrzymać się raczył!” Zdziwiony lekarz zapytał: co by to znaczyło? Odpowiedziano mu, że: aptekarz gnębiony zmniejszeniem czynności w officynie, tym sposobem chciał podreperować swą kasę! Na nieszczęście sposób się nie udał; gdyż obrażony doktor, nie wstąpiwszy do pomyslowego farmaceuty, odjechał!

Gdybyście czytelnicy przejeżdżali przez okolicę Rypińską, zachwyciłby was z pewnością widok pałacu w jednej z wiosek tamtejszych; lecz zdziwilibyście się zarazem, dowiedziawszy się, że pałac ten (około 40,000 rs. wartości) należy do folwarku, składającego się z 18 włók tylko, i że nieszkańców posiada... dwóch!! Zdawałoby się to wam rozrzutnością — lecz tak nie jest. Posłuchajcie historii owego pałacu.

Przed paru laty właścicielka wsi owej, wdowa, zapotrzebowała guwernera dla jedynaka syna swego. Zjawił się niebawem żądany guwerner, który zdawał się odpowiadać wszystkim warunkom. Po pewnym przeciągu czasu, zyskał zupełne zaufanie wdowy, tak że po jej śmierci mianowała go opiekunem jedynaka. Guwerner szanowny uważał za niezbędne postawienie pałacu, po ukończeniu którego zauważył, że pupil cierpi pomieszanie zmysłów, i że niepodobna inaczej postąpić, jak usunąć go z prawej własności a samemu poświęcić się, i... kupić owe dobra. Tak więc zrobił.

Nie mogę też zamilczeć, o pewnym proboszczu, który swoją dbałością o zbawienie dusz powierzzonej mu owczarni — zasługuje ze wszech miar na wzmiankę.

Proboszcz ów ustanowił takse od spowiedzi wielkanocnej. Opłata nader tania, gdyż po groszy trzy od... sztuki. Nie myślcie tylko czytelnicy, ażeby szanowny kapłan był tak nierozsądnym i zmuszał swe owieczki do spowiedzi! Bynajmniej. Należy tylko opłacić trzy grosze, za co dostanie każdy kartkę, opiewającą, iż jest dobrym katolikiem i był u spowiedzi. Kto zaś nie wykupi podobnego świstka, jest narażonym na publiczne wywołanie z ambony, chociażby i spowiadał się z wiadomością kapłana.

Pomimo jednak takich dogodności, parafianie okazali się niewdzięcznymi, gdyż po obliczeniu się, 40 przeszło nie wykupiło owych świstków!!

W Płocku krzątają się około urządzenia zabawy fantowej, która ma się odbyć za parę tygodni, a o której nieomieszkać donieść.

## POLEMIKA.

Pan J. Chwiećkowski w 23 numerze *Przeglądu Tygodniowego* powstaje na moje sprawozdanie o dziele jego pod tytułem *Siła i materya*, streszczając swe niezadowolenie w pięciu zarzutach, w których odsądza mnie od wszelkiej kompetencji w sąszeniu prac tego rodzaju. Ze względu na sposób, w jaki p. Chwiećkowski wyraża swe niezadowolenie, osuję się w najzupełniejszym prawie nieodpowiadania mu; to więc co poniżej nastąpi, należy uważać za wyjaśnienie sprawy tym z czytelników, którzy się nią mogą interesować, a bynajmniej nie za polemikę z p. Chwiećkowskim, z którym należałoby walczyć tą samą bronią, z jaką on występuje w szranki, t. j. używać wyrazów, jakich ja nie posiadam w swoim słowniku i do używania których nie przywykłem.



Pan Chwiećkowski utrzymuje:

1) Iż niesłusznie przypisuje mu zdanie, jakoby szybki rozwój oświaty i cywilizacji miał prowadzić do również szybkiego rozwoju politeizmu, że zdania tego on nie wygłaszał, i że przypisanie mu podobnego poglądu jest skutkiem pomieszania przeze mnie różnorodnych pojęć. W odpowiedzi na ten zarzut pana Chwiećkowskiego, przytaczam dosłownie odnośny ustęp z jego książki. „Braminizm ówczesnych narodów w ogóle zmierzał powolnie do politeizmu, z wyjątkiem Grecyi, gdzie politeizm napotkałszy najprzejazniejsze warunki, rozwinął się szybko. Położenie bowiem kraju i decentralizacja Zarządu Greków sprzyjały nietylko wzrostowi dobrobytu materialnego, lecz zarazem szybkiemu rozwojowi oświaty i cywilizacji społecznej”. Sądzę, że zacytowanie tych bynajmniej niedwuznacznych słów usprawiedliwiłoby się zupełnie z pomieszania różnorodnych pojęć.

2) Co do drugiego zarzutu uczynionego mi przez p. Chwiećkowskiego, to rzeczywiście trudno jest mi nań odpowiedzieć, bo w jakim sposobie dyskutować z tym, kto „nie jest wyznawcą dogmatu Newtonowskiego ciężenia” i kto w sporach naukowych używa argumentu „nie wierzę”? Na obalenie tego rodzaju negacji nauka nigdy nie posiadała i posiadać nie będzie dostatecznie silnego pocisku.

Kwestye wyłuszczone w polemice p. Chw. pod N-rami 3 i 5 pomijam, jako dotyczące się pisowni i terminologii. Że pod obu powyższymi względami nie jestem wymagającym, o tem wie każdy, kto czytał moje sprawozdanie o dziele p. Chwiećkowskiego, — zaznaczyłem tam bowiem jedynie, iż używanie rosyjskiej pisowni w nazwiskach uczonych i tworzenie czwartego wyrazu tam, gdzie są trzy gotowe i utarte, są objawami, które się spotyka z niemiłym uczuciem w każdej książce, tembardziej zaś w oryginalnej.

Zarzut 4-ty p. Chwiećkowskiego, iż rozdził jego dzieła, traktujący o dźwięku niesłusznie osądził za źle napisany, dla mnie nie jest zarzutem. Nietylko rozdził o dźwięku, lecz wszystkie rozdziały z dziedziny fizyki, mem zdaniem, opracował pan Chwiećkowski niejasno i niestarannie. To, co jest tak ogólnie i powszechnie znanem, że niemal wróble na dachu o tem świergocą, jest w jego dziele przedstawione w sposób tak zawiły, iż bardzo często trudno wyrozumieć, o co rzecz idzie. Tej to niejasności stylu i niesystematyczności obrobienia przypisać muszę tę okoliczność, iż czytanie *Sily i Materji* było dla mnie ciężką, przykrą i nudną pracą, podczas gdy czytanie innych z tegoż zakresu dzieł jedynie przyjemność sprawić może.

Na zapytanie p. Chwiećkowskiego, jakie są moje pojęcia o momencie bezwładności i o sile, odpowiadam, że takie, jakie znajdzie u Eulera i Newtona. Jeśli z tego względu p. Chwiećkowski sądzi, że błędę, to wyznam otwarcie, iż wolę błędzić z Eulerem i Newtonem, niż postępować drogą prawdy z panem Chwiećkowskim.

Tyle z mej strony odpowiedzi na wystąpienie pana Chwiećkowskiego, więcej w przedmiocie tym odpowiadać nie będę, zaznaczając na zakończenie, iż miejscem, w którym zaciemniono nielitościwie pojęcie momentu bezwładności jest str. 94 tomu I dzieła p. Chwiećkowskiego.

J. J. B.

## KRONIKA POWSZECHNA.

### a) Krajowa.

Nauki.—W d. 5 b. m., o godz. 1 z południa, w sali aktowej Uniwersytetu Warszawskiego wobec licznie zebranych przedstawicieli zwierzchności uniwersyteckiej i uczącej się młodzieży, bronił rozprawę na stopień doktora prawa państwowego profesor nadzwyczajny na katedrze tegoż prawa Dr. Samokwas. Przedmiot rozprawy: „Pierwotny byt polityczny słowian rosyjskich”. Prof. Samokwas, urodzony w roku 1843, stopień magistra prawa otrzymał roku 1873; jest członkiem Towarzystwa Przyrodniczego i Archeologicznego w Moskwie, oraz Geograficznego w Petersburgu. Wiele trudów poświęcał profesor S. badaniom i rozkopywaniom kurhanów starożytnych, oraz innym archeologicznym poszukiwaniom w Cesarstwie i Królestwie (w Płocku); prace jego wyjaśniające rezultaty owych poszukiwań naukową posiadają wartość. Na doktryzacji oponowali doktorantowi z urzędu profesorowie: Białecki i Zygel, a oprócz tego prof. Nikicki. Po ożywionych rozprawach wydział prawny przyznał profesorowi żądany stopień. Od czasu przemianowania Szkoły Głównej na Uniwersytet jest to pierwsza doktryzacja na tym wydziale.—Stopnie lekarzy weterynaryi uzyskali w tych dniach panowie: Bolesław Celiński, Ludwik Kopyński, oraz Jan Koziarkiewicz.—W zeszłą sobotę, w auli uniwersyteckiej, p. Włodzimierz Streleń wychowawiec Warsz. Uniw., bronił rozprawę na stopień kandydata, p. t. „Zebrań sejmowe w dawnej Rosyi”. Wydział prawny przyznał panu S. żądany stopień naukowy.

Prasa periodyczna.—*Gazeta Sądowa* pomieszcza w odcinku wybornie i popularnie napisany artykuł p. Karola Dunina, p. t. *Spadkobranie beztestamentowe*. Artykuł ten pożyteczny jest nietylko dla prawników, ale i dla szerszego ogółu.—*Gazeta Przemysłowo-Rze-*

*mieślnicza* w roku zeszłym zamieściła *Krótki rys historyczny przemysłu i rzemiosła u nas za dawnych czasów*; obecnie toż pismo uzupełnia wiadomości tam podane w artykule p. t. *Notaty do historyi przemysłu w Polsce*.—Ostatni zeszyt *Ateneum* zawiera między innymi zajmującą pracę p. t. *Francya dawniejsza*. W następnym zeszycie pomieszczony będzie dramat *Costy Neron*, w wolnym przekładzie wierszem. Dramat wspomniany będzie wystawiony za parę tygodni na warszawskiej scenie po włosku przez towarzystwo Roskiego.

Wiadomości literackie.—Wydawnictwa pp. adwokata Ant. Pileckiego i Stan. Kowalskiego, p. t. *Prawo i sądy*.—*Wskazówki praktyczne dla nieprawników*, zeszyt XIX wyszedł z druku i zawiera: O poszukiwaniu wynagrodzenia za szkody i straty, spowodowane przez rozporządzenia urzędników administracyjnych. O areszcie osobistym. Na okładce: informacje o adwokatach i obrońcach.—*Siedmne sprawozdanie z Instytutu Oftalmicznego imienia Edwarda ks. Lubomirskiego* w Warszawie za rok 1877, przez Witolda Narkiewicza-Jodko d-ra medycyny, Warszawa 1878.

Sprawy społeczne.—Projekt zjazdu przedstawicieli drukarstwa z Cesarstwa i Królestwa w Petersburgu, jest podobno bliski urzeczywistnienia; właściwa komisja przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych miała się już zająć wypracowaniem programu i zasad zjazdu.—W uzupełnieniu podanej przez pisma codzienne wiadomości o założeniu kasy oszczędności w cukrowni „Sanniki” donosimy, że takie kasy mają być założone w Ostrowach, Walentynowie i Tomczynie, należących do Warszawskiego Towarzystwa fabryk cukru. Niemniej kasa ta ma powstać w zakładach Warszawskiego Towarzystwa Kopalni węgla i zakładów hutniczych.—Muzycy kompozytorowie w Warszawie zamieszkalni, pragnąc złożyć hołd należący się J. I. Kraszewskiemu przez wzięcie udziału w jubileuszu przyszłorocznym, postanowili na zgromadzeniu odbytem w dniu 27 maja r. b. ofiarować szanownemu jubilatowi album złożone z kompozycji umyślnie dla niego napisanych. Podpisani, jako komitet wybrany, podając projekt ten do wiadomości muzyków polskich, ogłaszają następujące szczegóły. Wszystkie nadesłane manuskryta oprowiane zostaną w album bardzo ozdobne, z okładką umyślnie na ten cel wyłożoną z odpowiednimi godłami i rysunkami. Rodzaj kompozycji zostawia się do woli autorów, zwraca się tylko uwagę, ażeby utwory nie były zbyt długie, gdyż przy niewątpliwie licznym udziale objętość albumu mogłaby wypaść za wielką. Co do rozmiaru papieru, przyjęty został format stojący, zwykły nut drukowanych, mianowicie: wysokości 35, a szerokości 27 centymetrów; margines na około ma mieć szerokości 4 centymetry. Termin do przesyłania manuskryptów (franco) oznaczony został do 31 grudnia r. b. włącznie, pod adresem księgarni Gustawa Sennewalda, ulica Miodowa Nr. 4. Każdy biorący udział obowiązany jest dołączyć na pokrycie kosztów rs. 3.—Kwestya zabezpieczenia losu klas pracujących ma być załatwioną na innej drodze. Wszelkie dyskusje przedstawicieli przemysłu nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Mianowicie że składek obowiązkowych właścicieli fabryk i warsztatów ma się utworzyć w każdej gubernii kapitał, który ma być wydawanym robotnikom, którzy ulegli kalectwu. Projekt gromadzenia tych kapitałów ma być przedstawionym pod zatwierdzenie Ministerjum Skarbu.

Sprawy sądowe.—Gazety rosyjskie donoszą, że wysłane zostały z Ministerjum Sprawiedliwości do sędziów pokoju cyrkularze, polecające im przedsięwziąć wszelkie środki w celu polubownego zakończenia wprowadzanych przed ich kratki spraw; dotychczas sędziowie zapytywali tylko strony, czy nie życzą sobie one zakończyć sprawy zgodą i nie czynili w tym kierunku żadnych innych kroków.

Instytucje prywatne.—Stowarzyszeni Tow. Kredyt. Ziemińskiego w Płocku przedstawili władzy naczelniej tej instytucji w Warszawie wnioski następujące: 1) aby energicznie popartym został projekt wydzielania funduszu t. zw. melioracyjnego z niską stopą odsetku i z tem nadmienieniem, aby zapas funduszu rezerwowego Tow. Kred. Ziemi. mógł być w części rozporządzalnej użyty na dopłatę procentów od obliwów funduszu melioracyjnego; 2) aby wyjednanę zostało prawo na utworzenie przy T. K. Z. instytucji ubezpieczeń na wzajemności opartej; i 3) aby płaca pracowników T. K. Z. odpowiednio do upadku wartości pieniędzy i jednoczesnego wzrostu potrzeb podniesioną została.

Handel i przemysł.—Giełda produktowa, która w początkach swego istnienia funkcjonowała bardzo słabo, teraz prawie wcale nie funkcjonuje.—Widoki na ceny wełny zapowiadają się dobrze w tym roku. Z dzienników szlacheckich się okazuje, iż na jarmarku w Głogowie ceny były wyższe od 2 do 3 talarów na centnarze od cen zeszłorocznych. Jeżeli do tego dodamy różnicę kursu, to podwyżka na jarmarku warszawskim powinna być znaczną.—Według nowego rozporządzenia zarządu Wielkiego Towarzystwa rosyjskich kolei żelaznych, wszelkie opłaty celne, przez agencję wierzbołowską załatwiane, trzymać się mają w zamianie rubla metalicznego na kredytowy stosunku rs. 1 kop. 60 kredyt. za 1 rubel metaliczny.—Postanowieniem dnia 18 marca r. b. zabroniony został przez władzę galicyjską, wobec obawy zarazy na bydło, przywóz a nawet przewóz transito wełny z Królestwa i Cesarstwa. Otóż okoliczność, że

wełna oczyszczona sposobem fabrycznym przedstawia mniej niebezpieczeństwa zarazy, zawiadomiły departament medyczny Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, że przywóz i przewóz transytowy drogą żelazną z Rosyi wełny oczyszczonej w ten sposób może być dozwolony w każdym razie, kiedy odpowiednie certyfikaty, przedstawiane c. k. władzom, oznaczają miejsce pochodzenia wełny oraz zaświadczą, że wełna jest oczyszczoną, a rząd kraju, zjad ją przywieziono, nie ma nic przeciw jej wywozowi. Na stacyi granicznej wełna taka winna być pod nadzorem władz ściśle zdezynfekowaną.

Reformy.—Gazety rosyjskie donoszą, że istnieje podobno w sferach administracyjnych zamiar utworzenia oddzielnego Ministerjum Policji. W celu wypracowania odpowiedniego projektu urzędzona już została oddzielna komisja pod przewodnictwem jednej z osób wyższej administracji. Do składu owego projektowanego Ministerjum wejdą przedewszystkiem: departament policji wykonawczej, istniejący dotychczas przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych, oraz urząd prokuratury, w charakterze policji sądowej. Projekt ten będzie wprowadzony w życie dość prędko.—Agituje się w Ministerjum Oświaty projekt zaprowadzenia emerytalnych kas pomocy dla nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych i wiejskich.—*Goniec Urzędowy* ogłosił dwa Najwyższe rozporządzenia, dotyczące się zmiany jurysdykcji w procesach politycznych, w procesach o napad na urzędników, oraz w kilku innych pokrewnych wypadkach. Sprawy o przestępstwa polityczne, sądzone dotąd w wydziale specjalnym Senatu, mają nadal być sądzone: a) przez Izby Sądowe w zwykłym składzie departamentu kryminalnego, gdy przestępstwo nie pociąga za sobą kary połączonej z pozbawieniem lub ograniczeniem praw; b) przez Izby Sądowe w zwiększonym komplecie i z udziałem przedstawicieli stanów, albo w razie osobnego Najwyższego rozporządzenia przez wydział specjalny Rządzącego Senatu z udziałem wspomnianych przedstawicieli stanów, gdy przestępstwo pociąga za sobą pozbawienie lub ograniczenie praw; c) przez Najwyższy Sąd Kryminalny, gdy nastąpi Najwyższe co do tego rozporządzenie, a to w razie wykrycia w różnych okolicach państwa ogólnego sprzyśnięcia przeciwko władzy Najwyższej, albo przeciwko określonej prawami systemowi rządu i sposobowi dziedziczenia tronu.—Nr. 117 *Zbioru praw i rozporządzeń rządowych* zawiera Najwyższą zatwierdzoną uchwałę komitetu do spraw Królestwa Polskiego „o środkach zachęty do wywozu okowity za granicę”.

Wynalazki.—Departament handlu i rękodzieł udzielił przywileje na następujące wynalazki: A. Szandor przywilej dziesięcioletni na światło samo zapalające się i samo gasnące; M. Daniłow, dziesięcioletni na aparat pneumatyczny do czyszczenia śniegu; Mercki, Bromowski i Szule, trzyletni na nowego ustroju baterję dyfuzyjną; Herman Schnarr, Ant. Foss, Mik. Czerkunow, dziesięcioletni na nowego ustroju aparat do podejmowania wody i innych płynów; Leon Szandor, dziesięcioletni na próchnicę; Leon Somze, pięcioletni na nowy system połączenia rur; Hörn, dziesięcioletni na sposób zastosowania ozonu do wyprawy skór; Wernicke, Edelman i S-ka, pięcioletni na udoskonalony ustrój części kołowrotkowej na maszynach do szycia; Al. Letni, pięcioletni na udoskonalenie w budowie kół do kolei żelaznych i innych; Józef Schutlevort i Clayton, dziesięcioletni na udoskonalenie w budowie kotłów parowych i ich opalaniu i Jose Santjago-Kameszo, na udoskonalony ustrój elektro-magnitu.

Sprawy mlejskie.—Magistrat m. Warszawy ma zamiar wydać rozporządzenie, aby w czasie jarmarku wełnianego do magazynu Banku Polskiego prócz kupców i obywateli, wpuszczani byli tylko agenci, przedstawiający odpowiednie patenta, a to w celu niedopuszczenia całego szeregu pokątnych agentów, psujących interesa sprzedającym i kupującym.

Teatr.—Próby z *Pana Damazego* na scenie Teatru Letniego rozpoczną się w przyszłym tygodniu. Tytułową rolę odtworzy p. Żółkowski, Mańkę i Helenkę grać będą panny Deryng i Popiel.

### b) Zagraniczna.

Posiedzenia i mianowania.—D. 7 maja odbyło się posiedzenie komisji archeolog. Akad. Umiej. Krak. na którym p. Kirkor zdał sprawę z poszukiwań p. Jakoba Łukianowicza w Horodnicy, a prof. Kopernicki okazał zabytki wykopane w horodnickim grodzisku; odczytano także doniesienie p. Tymienickiego o zabytkach znalezionych w Kaliskiem i Wielkopolsce; p. Sadowski mówił o systemie urządzenia muzeum archeol. w Toruniu, a p. Gotfryd Ossowski okazał rysunki grobowisk wykopanych przez siebie w Prusach zachodnich.—D. 10 maja wydział filozoficzny i histor. Akad. Krak. odbył posiedzenie, na którym dr. Piekosiński czytał ustęp z swej pracy o monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV i XV wieku, oraz złożono dr. Mosbacha kilka uwag nad rozprawą „Trądycya o Kazimierzu Mnichu”.—D. 11 miał wydział filologiczny swe posiedzenie, na którym czytał dr. Kruczkiewicz „O łacinie ludowej w Rzymie” a dr. Wisłocki „Walter Burleigh i Marcin Bielski”.—Ministerstwo austriackie udzieliło subwencję p. Dudikowi, historyografowi morawskiemu, wencyę p. Duninowi, historyografowi zaluskiemu w Petersburgu.—Prof. Łuczkiwicz otwiera w Krakowie szereg odczytów o zabytkach architektonicznych,



malarskich i rzeźbiarstwa kościoła P. Maryi na tle dziejów sztuki; dochód przeznaczony na wsparcie uczniów szkoły malarskiej. — Gabinet archeologiczny Uniw. Jagiel. otrzymał od biskupa Baranowskiego książki o symbolice; od Józefa Wolmana — album fotograficzne wykopalisk z Rymanówki w Skwirskiem; od Maryi Łazanki — klucz starożytny; od Ziemięckiego publikacje archeologiczne. — Towarzystwo krakow. techników odbyło posiedzenie 16 maja, na którym, oprócz przemów, prof. Grabowski miał odczyt „O przemysle naftowym w Galicyi”. — Z posiedzenia komisji językowej (18 maj) pokazuje się, iż prawie wszystkie zabytki językowe z przed 1550 r. rozebrane zostały do opracowania, z wyjątkiem znajdujących się po bibliotekach prywatnych. Złożono też pracę A. Petrowa z Krasoufimska: „Przyczynę do słownika języka kaszubskiego”. — Akademia umiejętności moralnych i politycznych wyznaczyła 1,500 fr. jako nagrodę za pracę: *Louis Wolowski sa vie, ses travaux et ses oeuvres*. — Redakcja *Poradnika przemysłowo-rolniczego* przy pomocy Izby handlowo-przemysłowej, Tow. gosp. rolniczego, Banku galicyjs. dla handlu i przemysłu — rozpisła publiczny konkurs na rozprawę w języku polskim, wskazującą materiał surowy, mogący w kraju być produkowanym i łatwo przetwarzanym przemysłowo; rozprawa powinna obejmować stronę techniczną, ekonomiczną i finansową — termin 1 września 1878 r. — Na posiedzeniu komisji balneologicznej krakowskiej dr. Czerny czytał rozprawę o wpływie lasów na wydajność źródeł. — Na posiedzeniu wydz. matem. przyrod. Akad. Krakowskiej p. Z. Kahane stręcił swą rozprawę „Budowa tasiemca nastrozonego”. Ponieważ upłynął już termin konkursu Kopernika „Obliczenie tablic biegu planety Juno” a rozprawy żadnej nie nadeszło, przedłużono więc temat na lat trzy. — Na posiedzeniu komisji archeologicznej Akad. Krak. Dr. J. Kopernicki przedstawił projekt wydawnictwa *Monumenta Poloniae praehistorica*, który przyjęto. P. Ziemięcki odczytał rozprawę „O teorii wpływów kultury fenickiej”. P. S. Skarbek Michałowski wypracował statystyczny obraz „zawiei i zasp śnieżnych” na drodze żelaznej od Krakowa do Lwowa i przedstawił go za pośrednictwem dyrekcji kolei Karola Ludwika na wystawie Paryskiej. — Na posiedzeniu komitetu Pomocy uczniom Uniw. Jagielloń. profesorowie przyznali nagrody pieniężne pp. Bidzińskiemu za rozprawę: „Jaką część powierzchni kuli a jaką część objętości kuli wycina walec prosty przesunięty przez koło mające za średnicę promień ziemi; Rosenblatowi — za: „Stwierdzić wyczerpująco działanie fizjologiczne i techniczne alkaloidu Jakobrandy, przewidziane przez Webera *Pylocarpinum muraticum* — S. Smolińskiemu za: „Wykazać działanie wprowadzenia wielkich ilości wody do jelit sposobem Hegorowskim; uwzględniając odnośną literaturę wskazać na podstawie własnych doświadczeń stosowne leczenie; Bidzińskiemu: „Jak wielką jest powierzchnia zawarta między obwodem elipsy a obwodem jej rozwiniętej (evoluta); Wolfowi Pisekowi: „W jaki sposób powstaje przerost mięśnia sercowego; R. Soczyńskiemu: „Istota, cel i zadanie prokuratury rządowej; Mysińskiemu: „Środki prawne w procesie karnym”; Ralskiemu: „De apparitionibus Christi Domini post Resurrectionem a mortuis usque ad ascensionem ad coelum”; Wolfowi Pisekowi: „Opisać dokładnie najmniej trzy wypadki chorobowe w klinice dostrzegalne z uwzględnieniem odnośnej literatury”. Za tenże temat otrzymał nagrodę i p. Paskiewicz.

Bibliografia. — W 1826 r. wyszedł pierwszy *Pamiętnik budowy pomnika Kościuszki*, w 1852 r. komitet czuwający nad pomnikiem wydał *dotadek* pierwszy do takowego pamiętnika, obecnie po 25 latach wyszedł *dotadek* drugi. — Stanisław Zarski *O nazwach geograficznych słowiańskich i znaczeniu ich w systemie edukacyjnym*, Kraków. str. 34. — Adolf Szczepański, *O przemyśle domowym*, Kraków; broszura ta szczegółowo dotyka kwestyi przemysłu koszykarskiego w Krakowie.

Prasa peryodyczna. — Nr. 20 lwowskiego *Ekonomisty* zawiera: Prace na polu stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych — Wystawa paryska — Galicyjski zakład ziemski w Krakowie — Sprawy kolejowe — Ruch handlowy etc. Nr. 20 *Szkoły* obejmuje: Projekt zmiany ustawy szkolnej — O potrzebie i urzędzeniu geograficznych zbiorów szkolnych etc. — W *Revue Britannique* p. Zygmunt Cieszkowski pomieścił pierwszy ciąg artykułu „Skarga i wiek jego”. — W *Przeglądzie polskim* Nr. 12 za czerwiec: Brüggena *Rozkład Polski*, oceniony p. Ks. Liskego; Tragedy greccy, p. Wojciecha Dzieduszyckiego; Do reformy stosunków miejskich, p. Szczepańskiego; Szkoły w Polsce i ubodzy uczniowie krakowscy, Polkowskiego etc.

Wiadomości społeczne. — Zbór izraelski krakowski powierzył posadę kaznodziej p. Maurycemu Duszkowi, który, umiając już po czesku, obowiązał się w ciągu lat trzech mówić kazania w języku polskim. Dobrze i to na początek. — D. 1 Maja miasteczko Bardyów nawiedzane zostało pożarem. — Zmarła we Lwowie Magdalena Jurgas, francuzka rodem, zapisała cały swój majątek na cele dobroczynne, a między temi 10,000 zlr. dla młodzieży na stypendya i 1,000 dla zakładu ociemniałych — Uzesi zamierzają również obchodzić jubileusz Kraszewskiego. — We Lwowie przystępują do rozszerzenia istniejącego tam

od 1845 r. szpitala dla dzieci, a to skutkiem subwencji sejmu i pomocy ks. Sapiechów; gmach dla tego szpitala stanie w bliskości szpitala pijarskiego, aby mógł nowy instytut korzystać ze środków, jakimi już rozporządzają dawniejsze. — W Pradze czeskiej odkryto pomnik Jungmannowi wskrzesicielowi narodowości Czeskiej, przyczem Rieger miał przemowę i przekazał monument miastu imieniem towarzystwa *Slava*, które go wystawiło. — Rada miejska lwowska wyznaczyła 600 zlr. na wysyłkę robotników do Paryża. — We Lwowie uznano za termin zmiany mieszkania 1 kwietnia i 1 października, jako obowiązujące. — Szkoła Dublańska, która weszła pod zarząd Wydziału krajowego, pozbawioną była praktycznego folwarku, który pozostał przy Tow. rolniczem; dla zaradzenia temu folwark ma przejść na własność krajową, widać więc porzucono myśl przeniesienia szkoły do Lwowa, a reformę jej w Dublanach rozpoczęto od postawienia kaplicy, która będzie kosztować 9,000 zlr. — lubo dotychczasowa kapliczka wystarczała na potrzebę uczniów. — Wydział krajowy sejmu galicyjskiego na najbliższą sesję przygotował projekt ustawy drogowej.

Sztuki piękne. — Na Wystawę Krakowską przybyli Antoniego Gramatyki *S-ty Wojciech naucza pieśni Bogarodzica*, Antoniego Piotrowskiego *Kucie koni*, Mateckiego *Po deszczu*, Miasteczko i *Las sosnowy*, Römera *Stacya kolei*, Papieskiego *Mnich*, Rybkowskiego *Powrót ze ślubu*, Grocholskiego *Podolanka*, Bryniarskiego *Sadawka S-go Stanisława na Skalce*, Tondosa portret niewiasty pastellami, Horowitza *Portret ks. Jerzego Lubomirskiego*, Koniuszki *Portret niewiasty*, Mroczkowskiego *Przed burzą*, Elmingera *Flisacy przed karczmą*, Tondosa *Stary rynek Kazimierza*, Grabowskiego *Typ mieszczanina wschodniej Galicyi*, Szernera *Przy studni*, Wystobockiej *Spioszek i Młody fajczarz*, Jaroszyńskiego *Polowanie na dzika*.

Teatr i muzyka. — W Przemysłu w Galicyi zawiązało się Towarzystwo dramatyczne amatorskie stałe. — Pani Hofmann z powodzeniem występowała w rolach gościnnych w Poznaniu, gdzie jej ofiarowano złotą bransoletkę od Wielkopolan i srebrny wazon od artystów kolegów. — P. Zimaier występowała w rolach gościnnych w Krakowie. — Na roczny benefis Rychtera wystąpi ten artysta w *Reju z Nagłowic* i *Męzu od biedy*. — P. Dobrzański ze Lwowa występował w rolach gościnnych w Krakowie. — Rychter wszedł od d. 15 września r. b. jako wspólnik do dyrekcji Teatru Krakowskiego; zamierzone są uzupełnienia personelu i poprawa sali. — Z 33 nadesłanych sztuk na konkurs Fredry, komisya lwowska uznała *Artykuł 264*, *Uproszczone zaloty* i *Szczęście Walusia* za godne grania i ubiegania się o nagrodę, którą przyznano sztuce pierwszej (autor p. K. Zaleski); drugą nagrodę otrzymał p. Kajetan Kraszewski. — We Lwowie przedstawiono *Wilhelma Tella*, lecz przy słabym udziale widzów. — Na koncercie Krakowskiego Towarzystwa Muzycznego mają być wykonane *Sonetu Krymskie* Moniuszki. — P. Dobrzański ukończył gościnne role w Teatrze Krakowskim.

Zmarli. — Zenon Hałatkiewicz, aptekarz, profesor Instytutu Technicznego, autor kilku prac naukowych w zakresie chemii.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Dotychczas żadna ważniejsza wiadomość o rozpoczętym w czwartek kongresie nie nadeszła. Skutkiem tego widownia polityki jest chwilowo tak pusta, jak już dawno nie była. Gazety, w braku donioślejszych zdarzeń, zajmują się lekarskimi buletynami o zdrowiu cesarza Wilhelma lub też puszczają na wodę swych kolumn kaczki o wielkiem socjalistycznym sprzyżeniu. Gdyby nie to, że wewnętrzne sprawy Turcyi dawno już przestały być poważnym przedmiotem uwagi, możeby nowe rozruchy w Konstantynopolu dały politykom wiele do myślenia. Ale — niestety — tak Europa przywykła do zmian ministeryalnych, reform na papierze, sultańskich hatów i całego młynka, jaki się od dwu lat w Turcyi kręci, że nowy jakiś bunt u góry lub dołu jest zjawiskiem bardzo powszednim. Telegramy bywają czasem bardzo naiwne, czy też złośliwe. Jeden z nich powiada: „Policya zarządziła w Konstantynopolu bardzo liczną aresztowania między stronnikami Midhata-baszy. Już 480 poważnych stronników byłego wielkiego wezyra siedzi w więzieniu. Rząd ma nadzieję, że porządek już nie będzie zakłócony.” Krucho to nadzieja rządu, który już uwięził 480 buntowników.

Prawdopodobnie, gdyby policya zecheiała postępować ściśle, musiałaby uwięzić 9/10 wiernych poddanych.

Pogłoska o rozwiązaniu niemieckiego sejmu zawiodła. Teraz więc tylko ciekawą jest rzeczą, jak wypadną 30 maja rozpoczęte wybory? Czy socjaliści w nich, jak roku zeszłego, zwyciężą? W ogólności czy ten żywioł uzyska votum zaufania niemieckiego ogółu, czy też je zupełnie utraci? Gazety wróżą w duchu ostatniego wypadku, my wolimy nie prorokować.

Zabezpieczony, zdaje się, ze wszech stron spokój zakłócił w ostatnich dniach alarmujące doniesienia o ruchach armii austriackiej. Na interpelację w tej mierze, hr. Andrassy odpowiedział, że ruchy te są prostymi środkami ostrożności w obecnych niepewnych stosunkach w Rumunii, Serbii i Bośni. Próbkę owych stosunków w Rumunii daje opublikowany w czwartek przez nasze gazety telegram z Bukaresztu.

„Rossyanie znacznie się posunęli ku pozycjom rumuńskim. Forpoczty obydwóch armii prawie się stykają. W pewnej wsi, zajętej przez kawalerję rumuńską, zjawily się wojska rossyjskie i zażądały ewakuacyi miejscowości. Rumunowie oświadczyli, że stawiać będą opór gwałtowi. Natychmiast zatelegrafowano do Bukaresztu. Książę Karol wezwał generała rossyjskiego Drentelena i oświadczył mu, że w razie jeżeli Rossyanie nie wstrzymają marszu, wyjedzie do armii i gwałt odeprze gwałtem. Drentelen odpowiedział, że zażąda instrukcyi z Petersburga”.

## WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Na przednim planie ogólnej dyskusyi stoi — kongres. W przewidywaniu otwarcia jego posiedzeń zaplanowało wszędzie usposobienie wyczekujące, najzupełniej odpowiadające dzisiejszej sytuacji politycznej. Nadto peryod operacyjny, który tu bierzemy pod rozwagę, był z powodu świątecznego poniedziałku krótki, z czterech bowiem dni składał się tylko. Fluktuacje kursowe, choć dodatnie, dla wartości rubli odznaczały się skromnością; najwyższy na Berlin był rs. 143 kop. 10, najniższy rs. 142 kop. 20 — pośredni rs. 142 kop. 65 dominował w transakcyjach. Były one zresztą bardzo ograniczone. Marka kosztuje 47 3/4 kop., frank 38 3/4 kop., gulden 82 3/4 kop., pół-imparyal rs. 7 kop. 95.

Nie zważając na poprawiającą się wartość rubla, kursa papierów publicznych trzymały się wysoko, dzięki ożywionemu popytowi, już to ze strony krajowych, już zagranicznych kapitalistów. Listy Zastawne nowe doszły do rs. 98 kop. 50, a za Listy Likwidacyjne rs. 87 kop. 50 do kop. 60. Mniej dobrze trzymały się Listy Zastawne m. Warszawy bo 92 1/4 w dwóch pierwszych, a 91—25 kop. w ostatniej seryi. Pożyczki Premiowe podskoczyły do 229 w pierwszej, a 234 w drugiej emisji. Za Pożyczkę Wschodnią płać 95 1/4 w tysiącznych, 95 w setnych, a do 94 w pięćdziesięciurublowych sztukach.

Rynek zbożowy znajdował się w mniej słabym stroju, a zgodnie z notowaniami zagranicznymi, ceny nachylały się bardziej ku wyższemu. Dowozy małe. Za żyto żądano rs. 5 kop. 40, owies rs. 3 kop. 30, gryka rs. 4 kop. 5.

Jarmark na watnę urzędowo w dniu sobotnim otwarty zostanie.

— Nadesłano dla wdowy z Wilczej ulicy: S. C. P. K. i B. K. rs. 2, Obertyński rs. 2, Serwiński rs. 3, Fahrenhole rs. 2. Razem rs. 9. — Sumę tę wręczyliśmy w dniu 14 b. m. Marcinkiewiczowej.

## ŚWIAT

Dwutygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci wyszedł № 11.

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołączają ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk. t. IV. ark. 11).